WARSZAWA KRAKÓW LWÓW POZNAŃ

BLUSZCZ

№ 20—21. ROK WYDAWNICTWA LIII. Dnia 18 i 25 Maja 1918 r.

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie: Mk. 2.15, kwartalnie: Mk. 6.25, półrocznie: Mk. 12.50, rocznie: Mk. 25.

CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelowy lub jego miejsce „za tekstem": Mk. 1.50; ogłoszania zwycz. 65 f. „Nadesłane" Mk. 2.50, margines Mk. 18. Kolumna Mk. 360. Załączniki Mk. 40 za tysiąc.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO . . . Fen. 65.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM
Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ

Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.
Drobnych rękopisów nie zwraca się. — Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

Prenumerata na prowincyi, w Austryi, Galicyi, w Rzeszy Niemieckiej i W. Ks. Poznańskiem:
Rocznie: Mk. 30, półrocznie: Mk. 15, kwartalnie Mk. 7.50.

W Lublinie „Bluszcz" w biurze dzienników „REKORD" — Kapucyńska 2.

W Krakowie u W-go D. E. Friedleina—Rynek 17.

We Lwowie — w biurze dzienników W-go Henryka Buchstaba — ul. Karola Ludwika 21.

Dzięki pomocy technicznej, ofiarowanej nam przez właścicieli drukarni, w obec przedłużającego się bezrobocia pracowników drukarskich, wydajemy połączone numery 20-ty i 21-szy Starać się będziemy wyrównać w jaknajkrótszym czasie powstałe wskutek bezrobocia zaległości.

Red.

CEZARY ŁAGIEWSKI.

2)

Udział kobiety w ruchu współdzielczym.

Współdzielczością nazywamy ruch na polu zakładania stowarzyszeń, które mają na celu obronę interesów wyzyskiwanych.

Dalsze szczegóły, dotyczące pojęcia stowarzyszeń współdzielczych, stanowią rozwinięcie hasła obrony wyzyskiwanych.

Któż zazwyczaj bywa wyzyskiwany?

Odpowiedź prosta i łatwa: jednostka w danych funkcyach gospodarczych ekonomicznie słabsza.

Czy stowarzyszenia współdzielcze mają na celu bezpośredni interes stowarzyszonych, czy stanowią ich własne przedsiębiorstwa?

Nie. Gdyby tak było — stowarzyszeni przedsiębiorcy siłą rzeczy staliby się podobni do ich poprzedników i tą samą, co i oni, ujawniliby zachłanność.

Stowarzyszenia współdzielcze nie są dla stowarzyszonych warsztatem pracy, a tylko dalszym jego ciągiem, a przedewszystkiem miejscem załatwiania tych interesów, których sami załatwić nie są w możności.

Stowarzyszenia współdzielcze są przeciwstawieniem przedsiębiorstw kapitalistycznych i jako takie nie opierają się na kapitale jednostek. Wymagają one od stowarzyszonych współdziałania, na którem ugruntowują swoją egzystencyę.

Stąd płyną konsekwencye, że organizacye te nie uznają ani wielkich udziałów członkowskich, ani dużych dywidend, ani uprzywilejowania członków w stosunku do posiadanych kapitałów.

Dają dla zachęty pewne doraźne korzyści — czynią to jednak ze względów więcej agitacyjnych,

A im większe budzą w środowisku swojem uspołecznienie — tem silniej zwracają osiągane zyski w stronę kapitału społecznego.

Dewizą ich równość i braterstwo.

Bezpośredniem zadaniem — zbliżenie spożywcy do wytwórcy, przelewanie na społeczeństwo tych zysków, które jednostka osiąga drogą najmniejszego wysiłku, a które w wielkiem zbiorowisku z małych wielkie tworzą rzeczy.

Nie tu miejsce na zastanawianie się nad całością struktury stowarzyszeń współdzielczych.

Zadaniem naszem pierwszem było dać Szanownym Czytelniczkom szersze pojęcie ruchu współdzielczego, tak nieraz błędnie, tak często tendencyjnie inaczej pojmowanego.

Na tle tego pojęcia zarysowują się bardzo wyraźnie korzyści z ruchu tego wynikające.

Współdzielczość, jako wynik wysokiej społeczeństwa kultury, dąży do reform nie drogą karkołomnych przewrotów, a drogą ewolucyi, która, być może, dłuższą bywa niekiedy, ale zawsze jest bezpieczniejsza zawsze omija niebezpieczne wyboje i urwiska.

Obcą współdzielczości jest nienawiść— na miłości bliźniego tworzy ona te prawdy, które wcześniej czy później zatryumfują w świecie.

Równość i sprawiedliwość są tu drogowskazami.

Wychować społeczeństwo, by z małych rzeczy tworzyło rzeczy wielkie, by świadomie, konkretnie dążyło do nowych celów, by wiedziało, jak wielką dźwignią dobrobytu i oświaty jest samopomoc—oto zadania współdzielczości, które zarazem stanowią zwierciadło jej korzyści.

Dużo daje nam ten ruch, ale duże, jak to już powiedzieliśmy, nakłada na nas obowiązki.

Żeby współdzielczość w danem społeczeństwie właściwe wydała owoce, nie wystarcza sama teorya tego zjawiska.

Raz dla tego, że ona bez należytego przygotowania zrozumianą nie będzie — powtóre, że współdzielczość tylko na właściwie uprawionym gruncie dobre tylko owoce wydać może.

Nie pojmie zasad współdzielczości ten, kto w doraźnych zyskach szuka korzyści dla siebie.

Nie rozwinie się zasada współdzielczości w społeczeństwach kołtunów, dla których wszystkiem jest sobkostwo, dla których nie istnieje ani równość, ani sprawiedliwość, ani wrażliwość na bliźniego niedolę.

Pod mianem właściwie uprawianego dla rozwoju współdzielczości gruntu rozumiemy dobrze wychowane społeczeństwa.

Społeczeństwo z jednostek się składa. Dobrze wychowane społeczeństwo to zbiorowisko osób, które właściwe otrzymały wychowanie.

Wychowawczynią jest kobieta. I tu najpierw zarysowuje się jej rola w ruchu współdzielczym. Dużo ona dla sprawy zrobić może. Człowieka od kolebki dla życia współdzielczego wychowywać należy. Nie o to chodzi by mu o niej od dzieciństwa opowiadać.

Wszczepianie w duszę dziecka cnót i zalet a w szczególności nauka o miłości bliźniego, o równości, o sprawiedliwości— oto podłoże na którem dalszą pracę kontynuować już łatwo.

Do celu prowadzą tu i zasady religji, nasze tradycje rodzinne i patrjotyzm. Kto Boga miłuje, kto w Boga wierzy, kto pacierz odmawia, a przedewszystkiem kto odmawianą rozumie modlitwę — ten nie zapragnie żyć cudzym kosztem, do uczciwej a produkcyjnej zabierze się pracy, uszanuje pracę innych.

Kto żywi w duszy wspomnienia czynów swych dziadów i pradziadów — wiedzieć powinien, że wspomnienia te go obowiązują, że nie powinny być one środkiem dla zadośćuczynienia pewnym chorobliwym próżnościom, a tylko stanowić winny bodziec do właściwego w życiu postępowania. Ideę patryotyzmu tylko ten patryota posiadł, który pojął i zrozumiał, że dobrobyt narodu wtedy istnieje, kiedy jest dobrobytem wszystkich, że ten naród oświeconym ma prawo się nazywać, który wyzbył się analfabetów.

Wszystko to dla współdzielczości ma doniosłe znaczenie. Stanowi bowiem dla niej pierwsze przygotowawcze stadjum.

Dziecko z ust matki o wielu dowiaduje się rzeczach.

Niechaj z tych drogich dla siebie ust i o współdzielczości się dowie.

Szkoła robi tu już swoje — poparcie usiłowań szkolnych w domu rodzicielskim przez odpowiednie wyjaśnienia, a przedewszystkiem przez dobry przykład zrobi swoje.

Wiemy, jak drogie są nam wspomnienia z lat dziecinnych, jak często pragniemy do obyczajów panujących w domu rodziców, przystosować obyczaje późniejszego, własnego domu. Gdy dzieci zapamiętają sobie, że rodzice jego nie kupowali u spekulantów, że nie wspierali ich, a łączyli się przy zakupach z innymi po to by drogą drobnych oszczędności do wielkich dążyć celów — będzie to miało swój skutek.

Współdzielczość zyska tradycje rodzinne, a to nietylko rozszerzy jej wpływy, ale znakomicie pogłębi jej znaczenie.

Ale nietylko kobieta — matka przyjmuje udział w ruchu współdzielczym. Widzimy tam także kobietę — żonę. Wiemy już, że stowarzyszenia współdzielcze nie są bezpośrednim warsztatem zarobkowym swych stowarzyszonych, że stanowią one niejako dalszy warsztat pracy. Dla tego dalszego warsztatu pracy może nieraz mężczyznom zabraknąć chęci lub czasu.

Gdy na chęciach nie staje, obowiązkiem kobiet wpływać by chęci się znalazły, zachęcać, przekonywać, agitować.

Gdy brak czasu na przeszkodzie staje często żona w dodatkowej tej pracy wyręczyć męża może.

Nie możemy przejść do porządku dziennego nad rolą kobiety jako gospodyni domu.

Kto wie czy rola ta nie stanowi największej pozycji w ogólnym udziale kobiet w ruchu współdzielczym.

Gospodarstwa kobiece są małostkowe— drobne oszczędności często decydują o ich wartości. Więc sposoby do wyzyskania tych oszczędności są przez gospodynie zawsze bardzo mile widziane.

Tu geneza tego zjawiska, że w wielu kooperatywach widzimy członkinie, które z drobnych oszczędności wpłacają udziały, które w tych właśnie kooperatywach znakomicie ujawniają swoje zdolności administracyjne.

D. c. n.

Wskrześmy tradycje prababek.

„In illo tempore“ jak głosi tradycja ustna a i literatura pamiętnikarska i beletrystyczna, — nie było polskiego dworu bez apteczki pełnej leków skutecznych przeważnie domowego wyrobu, nie było strychu nie zapchanego zielem do lekarskiego użytku zdatnem.

A dziedziczki skrzętnie przechowywały po prababkach niegramatycznie ale za to dokumentnie pospisywane recepty na wyrób maści, dryjakwi i t. p.

Tradycja ta dzisiaj w stanie szczątkowym, kołace się po małych dworkach szlacheckich, a po chatach przechowują ją „znające kobiety“, sukcesorki niepełnego kunsztu, po dawnych czarownicach odziedziczanego w ułamkach wiedzy z dziedziny czarnej magji.

A jednak nie należy zrywać z tą tradycją, która zielem, korzeniem i jagodą w naszych polach i lasach uzbieraną nakazuje leczyć ułomności naszego organizmu. — Należy tylko rzecz całą nieco zmodernizować i zorganizować tak, jak to czynić nam każą wymagania kapitalistycznej epoki w której żyjemy.

Chodzi o to, że zioła leczniczo-przemysłowe, jak je w handlu aptekarskich przetworów nazywają, rosną sobie u nas przeważnie „ad majorem Dei gloriam“, — a tymczasem przedstawiają one wielomiljonowy kapitał, — który nie wyzyskany odpowiednio — przepada.

A tyle biedy u nas naokoło, tyle rąk chciwych na pracę, tyle tysięcy ludzi idzie jej szukać u obcych.

A tymczasem miljony utworzone z woli Matki Przyrody w ziołach leczniczych, dziko rosnących po drogach, ugorach, lasach i łąkach naszych przepadają bezużytecznie.

Spostrzegli ludzie nasi nareszcie, to karygodne marnotrawstwo, zakrzątnęli się najpierw koło urobienia odpowiednio opinji, stworzenia odpowiedniej organizacyi handlowej i literatury, mogącej wychować pracowników, umiejących zbierać w czasie właściwym owe zioła i umiejących je do handlu odpowiednio przygotować, oraz takich, którzy na własnych czy wydzierżawionych kawałkach ziemi mogliby prowadzić plantacye roślin aptekarskich.

Ponieważ organizacya taka w czasie wojny, kiedy to zapotrzebowanie na leki jest wielkie, trafiła na czas podatny do rozwoju więc też szybko zmieniła się w Spółkę handlową, czyniącą duże obroty i rokującą coraz lepsze nadzieje na przyszłość.

Wytrwałą energją a z małym kapitałem założone Tow. „Planta“ w Warszawie, podejmuje się dzisiaj nast. czynności.

Organizuje zbiór i handel ziołami aptecznemi dziko rosnącemi, oraz przeróbką roślin na olejki i inne przetwory apteczne.

Tow. „Planta“ posiada:

1) własne plantacje roślin przemysłowo leczniczych i ziół aptecznych.

2) udziela porad fachowych plantatorom roślin przemysłowo leczniczych i daje wskazówki osobom zbierającym zioła lecznicze dziko rosnące.

3) zakupuje rośliny lekarskie i nasiona roślin przemysłowo leczniczych w każdej ilości.

4) pośredniczy w sprzedaży i dostarcza nasion i sadzonek roślin aptecznych.

5) osobom, pragnącym zająć się zbiorem dziko rosnących ziół leczniczych, lub uprawą roślin lekarskich poleca podręczny komplet książek, zawierający podręczniki dla takich osób niezbędne.

Nasuwa się pytanie w jakim celu na początku wywołaliśmy cienie prababek, oto w tym celu, aby prawnuczkom ich wskazać na to źródło, które one znały już przed wiekami i korzystały z niego w celach leczniczych, a my powinniśmy pójść dalej i wykorzystać to źródło, jako zaniedbany dział gospodarstwa wiejskiego.

Jak to zrobić?

Porozumieć się uprzednio z Towarz. „Plantą“, przygotować się następnie metodą poglądową z zasadami zbierania, suszenia i krajania roślin, co daje się od ręki zrobić na miejscu, a nabywszy odpowiednie podręczniki, opracowane przez fachowców nabyć uświadomienia teoretycznego i brać się do roboty.

Jak ją prowadzić?

Można zorganizować z dzieci wiejskich i kobiet staruszek zastęp stale zbierających i za umówionem wynagrodzeniem

dziennem donoszących nam większe partye roślin, a samym zająć się ich suszeniem i krajaniem oraz przechowywaniem, aby w końcu powinną wielopudową ilość jednogatunkowych roślin rzucić na rynek handlowy; można też założyć własne plantacye popłatniejszych roślin aptekarskich i wykorzystać wiejskie sady, zaciszne podmurza, słoneczne podwórka, odłogiem bezużytecznie leżące, bo zbyt przestronne i t. p.

Tylko trzeba pamiętać, że jest to zajęcie wymagające wielkiej sumienności, a nawet pedanteryi, a więc w gruncie rzeczy oddziaływujące wychowawczo na nasze polskie, niewdrożone do porządku, natury. Trzeba więc będzie, biorąc się do takiej pracy, niejeden zły nałóg w sobie przełamać, ale to tem lepiej, jeśli praca zyskowna, da nam jeszcze w dodatku i korzyść natury moralnej.

Stefanja Bojarska.

PRZYJAŹŃ.

Lepiej mieć stu przyjaciół niż jednego wroga, mawiano dawniej i starano się zasadę tę czynem popierać, bo często ludzie w imię przyjaźni, poświęcali nietylko trudy swe i mienie, ale nawet szczęście życia całego.

W dzisiejszych jednak czasach „w epoce materjalizmu i wybujałych egoizmów“ rzadko spotkać się można z uczuciem prawdziwej przyjaźni, gdyż egoizm rozwielmożnił się szeroko i ogólną stało się zasadą: pamiętać i myśleć przedewszystkiem o sobie. Smutne to, lecz prawdziwe. Niezdolność do przyjaźni dowodzi oschłości serca nie mogącego zdobyć się na tę życzliwość serdeczną dla bliźnich, która jest jedną z najszacowniejszych cnót, jest tem uczuciem wielkomyślnem, z którego inne cnoty początek swój biorą, jest właśnie tą przyjaźnią, łączącą ludzi mocno a bezinteresownie i niszczącą w nas zarodki samolubstwa oraz stawiającą interes cudzy na równi z naszym, lub wyżej jeszcze.

Człowiek życzliwie usposobiony dla bliźnich nie potępiać lecz litować się będzie nad słabością ludzką i błędami, starać się będzie leczyć je, wspierając słabych, łagodząc rozjątrzonych i t. p., bo życzliwość, to skłonność do przykładania się do szczęścia drugich. Cóż nam najwięcej dolega w życiu, drażni nas i niecierpliwi, jeśli nie wady ludzi, z którymi przestajemy, wyższych od nas czy niższych stanowiskiem?

Dziwactwa i wymagania jednych, zarozumiałość, obraźliwość i obojętność drugich, i lenistwo innych, wszystko to truje nam życie i spokój nam zakłóca, jeśli nie mamy w imię miłości bliźniego wyrozumiałości i pobłażliwości dla słabości ludzkiej. Nie sztuka potępić winnego lub posądzonego o winę, nie sztuka odwrócić się od niego i nie chcieć mieć nic z nim wspólnego, lecz sztuką życia jest podnieść kogoś z upadku, a na drodze poprawy podtrzymywać moralnie. To za obowiązek powinniśmy sobie postawić święty, a zwłaszcza my kobiety polskie, pragnące wziąć czynny udział w pracy odrodzenia Ojczyzny.

Myśliciel i filozof polski, król Stanisław Leszczyński, w dzień ślubu córki swej Marji z królem Francji Ludwikiem XV, wręczył jej spisane napomnienia swoje, między któremi znajdują się słowa:

„Nie będziesz miała innego zatrudnienia jak zasługiwać na miłość, co dla pięknej duszy nic powabniejszego i łatwiejszego. Okazuj dla otaczających cię osób życzliwość i szacunek. Bądź surową dla siebie a pobłażliwą dla drugich. Chwal cnoty, usprawiedliwiaj słabości, nie chciej wiedzieć tak długo jak tylko możesz o błędach drugich, a upiększaj tym sposobem wszystko co cię otacza, rozum bowiem i pobłażanie, więcej cnót tworzy niż zbytnia surowość nałogów poprawia“.

Jak zaś królowa Marja czyniła zadość tym ojcowskim napomnieniom, dowodem tego były miłość i uwielbienie, jakimi naród francuski otaczał swoją władczynię.

„Przyjaźń, to cenny klejnot — twierdzi Herbert Spencer — a jedno poczciwe, oddane nam serce, więcej może znaczyć dla nas niż sto ramion silnych“, gdyż przyjaciele chronią nas od wielu życiowych przykrości i niebezpieczeństw, mogą różnymi sposobami przyjść nam z pomocą, poświęcając się dla nas, ale mają również prawo żądać i od nas tego poświęcenia się i oddania.

Pożałowania godnym jest człowiek, nie mający przyjaciół, ponieważ życie jego pozbawione jest uroku, gdyż niema serc mogących dzielić jego smutki i radości. Zdobywając jednak przyjaciół, powinniśmy dobierać ich sobie, bo z kim przestajesz takim się stajesz, mówi przysłowie nasze a Spencer potwierdza je zdaniem: „szukaj towarzystwa szlachetnych ludzi a sam staniesz się szlachetnym“, co znaczy, że lepiej wcale nie mieć przyjaciela niż niepewnego.

Wprawdzie każdy z nas obowiązany jest wytężać swe siły w kierunku rozwijania w swem sercu najszlachetniejszych instynktów, by to serce zawsze uderzało mocą szlachetnych uczuć, niemniej jednak wpływ ludzi szlachetnych, złączonych z nami węzłami zażyłości przyjaznej, ma dla nas wartość nieocenioną i nic nas tak nie podnosi jak obcowanie z takimi ludźmi.

Chcąc ugruntować uczucie przyjaźni i potrzebę tejże w sercach ludzkich, my matki polskie powinniśmy wcześnie w dzieciach naszych rozwijać to uczucie, usposabiając je serdecznie dla rówieśników i otaczających osób, przyzwyczajając je do ustępstw i drobnych poświęceń w imię życzliwości dla bliźnich, która w przyjaźń się zamienia. Nigdy też przy dzieciach i młodzieży nie powinno się źle wyrażać o ludziach, potępiać ich lub głosić zdania tchnące egoizmem jak np.: najlepiej trzymać się zdala od ludzi, wystarczać samemu sobie, nic od nikogo nie żądając i nic nikomu nie dając. Dzieci wzrastające w takich zasadach będą miały w późniejszem życiu nieprzezwyciężoną niechęć i nieufność do bliźnich swoich, a przecież mimo najbardziej egoistycznych zapatrywań się na życie, ludzie bez ludzi obejść się nie mogą, świat cały bowiem na wzajemnej pomocy jest oparty, na wzajemnem zużywaniu sił i trudów, a pomoc tę zdobyć i wynagrodzić można niezawsze samymi tylko pieniędzmi. Bliźni pracujący dla nas, oprócz materjalnego wynagrodzenia, potrzebuje niezbędnie i dobrego słowa, zachęcającego w tej pracy i upewniającego go o naszej życzliwości i uznaniu.

Ludzie zwłaszcza zmierzający do postępu drogą doskonalenia się, powinni zrozumieć, że przedewszystkiem system wzajemnej życzliwości udoskonalić trzeba, rozwijać szeroko uczucie braterstwa i przyjaźni, pamiętając zawsze iż:

„Wśród życia burz, wśród życia walk
Przyjaźni wielka jest władza,
Bo smutek, łzy i serca ból
Ona osładza“.

Matka-Polka.

Z LITERATURY.

Ks. Czesław Oraczewski:

Rozwój charakteru.

Wydanie drugie.

Najszczytniejsze to zadanie świecić tym, „którzy w ciemności i w cieniu śmierci siedzą“.

Człowiek pojedyńczy zapomina, że jest przemijającą cząstką trwalszej nadeń ludzkości i zakłada niewzruszoność bytu na ziemi, w ziemię tylko wierzy, niepomny na efemeryczność swego trwania. Często oślepły pożądaniem, wściekły nienawiścią lub zazdrością, w oszalałym pędzie namiętności ku złudnym leci celom i często jak kamień w przepaść się stacza. Często całe społeczeństwa w pewnych okresach trwania z podobnych jednostek złożone lub u steru podobne jednostki mające, pędzą zaciekłością ku zgubie.

Prostować ścieżki, ratować jednostki człowiecze, to przyczyniać się do ratunku lub szczęścia jakiegoś społeczeństwa, jakiegoś narodu. Każda doba ma swych kapłanów, nauczycieli, mistrzów.

Nie czas jeszcze określić jakie stanowisko zajmie ks. Czesław Oraczewski, bo młody ten filozof ma przed sobą wielki szmat rodzimej ziemi do orki i siewu, lecz już pierwsze jego prace błyszczą jasno w wiosennem słońcu odradzającej się Polski. Z dzieła ks. Oraczewskiego promienieje głębokie umiłowanie narodu i skupia się w pragnieniu budowania go przez kształcenie umysłu, zdolnego nagiąć się ku tej pracy, a więc przedewszystkiem umysłu młodzieży. Ks. Oraczewski pragnie, aby jego społeczeństwo szło ku ewolucji krokiem pewnym i równym, aby czystym wzrokiem patrzyło w oczy Boga i uniknęło doli skał, staczających się w otchłanie czasu.

Środków do osiągnięcia celu używa ks. Oraczewski prostych. Książce swej daje bezpretensyonalny a głęboki tytuł: „Rozwój charakteru", przed każdym rozdziałem zamieszcza cytaty z teologów lub wielkich myślicieli świeckich, jakby odrazu chciał powiedzieć, że jest jednym z wielu oraczów, powołuje się na nich w świadczeniu o prawdzie, jakby chciał swoją myśl twórczą w cień skromnie usunąć. Lecz myśl zacna i podniosła podobną jest do traw i ziół uparcie kiełkujących i w zwracaniu się do promieni słońca przebijających chmury, przenika więc ta myśl zbożna całe dzieło ks. Oraczewskiego, począwszy od układu rozdziałów, usystematyzowanych psychologicznie z wielką znajomością ułomności i duchowych potrzeb ludzkich, a kończąc na poszczególnych zwrotach, malujących dosadnie piękno duszy autora i jego szlachetne zamiary.

„Stajemy dziś na zgorzelisku dziejowym zdziesiątkowani i rozbici, z tęsknotą wyciągając ramiona ku przyszłości — niespokojni tułacze historyi, my — których podnosi przeszłość i rozpaczą ściga teraźniejszość. Ale bodaj dlatego jesteśmy szaleńcami nieustraszonej wiary w jasną przyszłość!" — mówi ks. Oraczewski w rozdziale ostatnim, niejako syntetyzując swoje zapatrywania.

Z prawdziwą radością stwierdzić należy, że „Rozwój charakteru" mimo wojny i ciężkich warunków ekonomicznych doczekał się już drugiego wydania. Snać ziarno nie upadło na opokę. Należy przewidywać, że owo drugie wydanie, poprzedzone piękną i głęboką przedmową Józefa Jankowskiego, równie szybko wyczerpane będzie.

Szczególnej należałoby książkę ks. Oraczewskiego polecić młodzieży, pracującej nad sobą samodzielnie i wychowawcom, dodając przytem, że każdy człowiek bez wyjątku znajdzie tam zdrowe ziarna prawdy, podnietę do czynu i zachętę do wytrwania.

Zofja Wojnarowska.

KRONIKA MUZYCZNA.

Repertuar opery; „Orfeusz" Glucka, „Fra Diavolo" Aubera, „Jaś i Małgosia" Humperdincka.

Nie możemy się uskarżać na brak urozmaicenia w repertuarze naszej opery, przeważa w nim co prawda element włoski z Verdim i Puccinim na czele, ale pozatem nie brak oper wszelkiej narodowości i wszelkich epok. Usłyszenie kolejno takich np. czterech oper, jak ostatnio wystawione: „Orfeusz" Glucka z roku 1762, „Fra Diavolo" Aubera, z roku 1830, „Jaś i Małgosia" Humperdincka z roku 1893, i „Eros i Psyche" Różyckiego, z r. 1917, daje powód do interesujących refleksji o różnych typach opery, o rozwoju muzyki dramatycznej i zmianach smaku w ciągu półtora wieku. Gluck (1714 — 1787) jest najstarszym z kompozytorów dramatycznych, których dzieła można dziś widzieć na scenie, a „Orfeusz" najstarszą z tych pięciu jego oper, które są jeszcze grywane („Alcesta" „Armida" „Ifigenia w Aulidzie" i „Ifigenia w Taurydzie").

W „Orfeuszu" po raz pierwszy zaznaczyły się wyraźnie reformatorskie dążenia Glucka; miał on wtedy 48 lat i do tego czasu skomponował kilkadziesiąt dzieł scenicznych w stylu włoskim a raczej w stylu „szkoły neapolitańskiej" który wówczas w twórczości operowej wszędzie niemal panował. Treść dramatyczna, która w początkach istnienia opery, t. j. po pierwszej połowie XVII wieku pierwszorzędną grała rolę, zeszła pod wpływem szkoły neapolitańskiej (Scarlatti) na ostatni plan; o związek muzyki z akcją nie troszczono się prawie wcale, opera stała się jedynie polem do popisów dla wirtuozowstwa śpiewaczego. Reforma Glucka polegała więc w znacznej części na przywróceniu operze charakteru dramatu muzycznego t. j. na powrocie do tego, czem była pierwotnie. Ale w dziejach sztuki, jak wogóle w dziejach ludzkości, nie ma zupełnych powrotów ani powtórzeń, są tylko nawroty częściowe albo podobieństwa. Hasła „reformatorskie" Glucka nie wiele się różniły od zasad Monteverdiego (1567—1643), podobnie jak „rewolucyjna" teorja Ryszarda Wagnera była niemal dosłownem powtórzeniem zasad, które wygłosił Gluck. A jednak jakaż przepaść dzieli „Orfeusza" Glucka od „Orfeusza" Monteverdiego (1607), jak niepodobną jest muzyka Wagnera do muzyki Glucka! Rozwój muzyki w przedzielających ich okresach czasu nie mógł pozostać bez wpływu na ich twórczość. Gluck wykształcił się w tej właśnie szkole neapolitańskiej, którą potem zwalczał (był uczniem Sammartiniego w Medyolanie) i niewątpliwie zawdzięcza wdzięk swej linji melodyjnej i znajomość tajemnic działania głosu ludzkiego tradycjom włoskiego *bel canto.* Siła wyrazu dramatycznego, którą dziś jeszcze podziwiamy w recitatiwach Glucka, stanowi dziedzictwo po Lully'm (1633—1687), który na 100 lat przed Gluckiem wytworzył w operze francuskiej ów styl patetyczny, zwany *déclamation chantée.* Podobnie i Wagner, pomimo identycznych prawie tendencji z Gluckiem, różni się od swego starszego o 100 lat poprzednika tem wszystkiem, czem inni genjalni twórcy przez ten czas wzbogacali muzykę, jest dziedzicem zdobyczy poczynionych przez Beethoowena, Webera, Mendelssohna, Chopina, Berlioza, a w niemałej mierze i Meyerbeera, którego tak namiętnie... potępiał.

Oczywiście zarówno Gluck jak i Wagner oprócz syntezy tego, co przed nimi powstało, włożyli w swe dzieła takie pierwiastki, które wypłynęły z ich własnej potężnej indywidualności i dlatego też każdy z nich stanowi epokę w historji muzyki. Epokowym jest „Orfeusz" Glucka głównie ze względu na rolę, jaką w tej operze odgrywają chóry; nigdy chór nie brał tak żywego udziału w akcji i nie wyrażał swych uczuć z tak przejmującą siłą wyrazu dramatycznego. Dla dzisiejszych słuchaczów, zblazowanych brzmieniem orkiestry Wagnera i Ryszarda Straussa, instrumentacja Glucka wydaje się nikłą i prawie bezbarwną; była ona jednak na swój czas genialną i służyła za wzór Berliozowi i Weberowi, na których znów wzorował się Wagner. Klasyczna prostota i piękność melodji Glucka, odrzucenie wszelkiej konwencjonalnej ornamentyki i wszelkich efektów wirtuozowskich w śpiewie, dbałość o jednolity nastrój każdej sceny, o logikę i ciągłość w akcji — wszystko to sprawia, że opery Glucka, z t. zw. „francuskiego" okresu jego twórczości mają dziś jeszcze ogromny urok, podczas gdy różne słynne opery czasów późniejszych wydają się przestarzałemi. Wszakże przepadł bezpowrotnie cały Spontini, Cherubini i Méhul; z licznych oper „niezrównanego" Rossiniego, tylko „Cyrulik" pozostał przy życiu; ulubione niegdyś opery Donizettiego i Belliniego już nas nudzą; Meyerbeer nie imponuje nam, a często razi swem wyrachowanem efekciarstwem; Verdiego z pierwszej epoki nie moglibyśmy już słuchać, a nawet na arcydziełach nieśmiertelnego Mozarta znać miejscami ząb czasu. Jakże imponującą jest wobec tego trwałość oper Glucka!

Dla Warszawy wystawienie „Orfeusza" (26 kwietnia) było prawdziwą premierą, gdyż, (o ile mi wiadomo) nie był on u nas nigdy grany. Dyrekcji p. Korolewicz-Waydowej należą się za ten czyn słowa uznania. Za dobre poczytać jej też można wznowienie „Fra Diavolo" Aubera, (7 maja), gdyż w naszym repertuarze tegorocznym brakowało dotychczas opery tego typu, który w historji muzyki nosi nazwę „francuskiej opery komicznej z 1-szej połowy XIX wieku". Istotnie był to rodzaj *par excellence* francuski, a choć znalazł licznych naśladowców wśród kompozytorów innych narodowości, to jednak najlepszym mistrzom francuskim trudno było na tem polu sprostać. Cieszyli się też oni w swoim czasie niebywałą popularnością. Taka np. „Biała Dama" Boieldieu'go, wystawiona w r. 1825 w Paryskiej *Opéra Comique*, przyniosła temu teatrowi w pierwszym roku milion franków dochodu i święciła w 1863 r. jubileusz 1000-go przedstawienia. Tyleż przedstawień w tymże teatrze osiągnęła w ciągu 40 lat opera Herolda „Le pré aux clercs", a „Pocztyljon z Lonjumeau" Adama, należał do najpopularniejszych oper w Europie. Ale żadnemu chyba kompozytorowi nie dopisywało powodzenie tak stale i tak długo jak Auberowi, autorowi „Niemej z Portici", „Fra Diavola", „Czarnego domina", „Konia spiżowego", „Udziału djabła" i trzydziestu kilku innych oper.

Auber (Daniel François Esprit) urodził się w roku 1782 — mógł zatem pamiętać Wielką Rewolucję — umarł zaś w Paryżu podczas Komuny w nocy z 12 na 13 maja 1871 r. Niespożyty staruszek jeszcze na dwa lata przed śmiercią, a więc w 87-m roku życia, napisał i wystawił operę p. t. „Piewszy dzień szczęścia". Jako twórca „Niemej z Portici" (1828) Auber stał się ojcem nowego typu opery, który francuzi nazwali *grand opéra;* ale właściwą jego dziedziną była opera komiczna, którą mo-

żnaby też nazwać „komedjo-operą“ albo „operą konwersacyjną“, zawiera bowiem oprócz „numerów“ muzycznych djalogi mówione. Ten rodzaj opery uważany jest obecnie za przestarzały. Nowożytni kompozytorowie wyrzekli się zarówno *secco-recitatiwa* włoskiej *opera buffa*, jak i mówionego dialogu francuskiej *opéra comique;* w spółczesnej „operze“ orkiestra nie przestaje „symfonizować“ od początku do końca. Miejsce „dobrze urodzonej“ opery komicznej zajęła parweniuszka-operetka, która nie jest właściwie niczem innem, jak zwyrodnieniem typu francuskiej opery komicznej. Ten proces zwyrodnienia rozpoczął się za czasów drugiego cesarstwa, gdy (za przykładem Hervé'go) Jakób Offenbach założył w Paryżu (1855) swój własny teatr *Bouffes Parisiens*, w którym ukazują się kolejno jego: „Orfeusz w Piekle“ „Piękna Helena“, „Sinobrody“, „Życie Paryskie“ i t. d. — niby-to opery komiczne, ale o tak swawolnej treści i tak dalece lekkiej muzyce, że nazwano je „operetkami“ a ich muzykę — „muzyczką“ *(musiquette)*. Była to jakby karykatura opery komicznej, mająca jednak wszelkie cechy prawdziwego artyzmu; nic dziwnego, skoro libretta pisali literaci tej miary co Meilhac i Halevy, a „muzyczkę“ tak utalentowani i wykształceni muzycy, jak Hervé, Offenbach, Lecocq, lub Audran. Odbija się w tem wszystkiem bezlitosny sceptycyzm, lekkomyślność i zepsucie obyczajów ówczesnego „towarzystwa paryskiego“, ale zarazem odbija się niespożyty temperament i dowcip francuzów oraz ten smak starej kulturalnej rasy, który nawet w epokach upadku nie daje się całkowicie zatrzeć. Nie bez pewnej słuszności możnaby dziś nazwać „klasycznemi“ te stare operetki francuskie, gdy się je porówna z obecną produkcją, z tak zwaną „operetką wiedeńską“, fabrykowaną na jedno kopyto, podług najniższej skali wymagań publiczności niewykształconej, a więc niewybrednej i bezkrytycznej w sprawach teatru i muzyki. Jeżeli operetka francuska była dowcipną karykaturą dawnej opery komicznej, to obecna operetka wiedeńska jest tylko nieudolnym tej karykatury „ersatzem“ (surogatem).

Wobec dzisiejszego stanu „lekkiej“ muzyki wydaje mi się rzeczą bardzo pouczającą wznowienie choćby kilku najlepszych oper komicznych francuskich z pierwszej połowy XIX wieku; może poznanie tych dzieł, pełnych wdzięku, prawdziwie „lekkiego“ komizmu w treści i muzyce, wpłynie choć trochę na podniesienie się poziomu operetki. Posłuchajmy np. takiego „Fra Diavola“ (skompon. w r. 1830); przy całej prostocie w melodyi i harmonizacyi, wieleż tu rozmaitości w rytmach, wiele wytworności muzycznej w takim kwintecie aktu 1-go, tercecie 2-go lub finale 3-go, jaka jednolitość stylu przy zupełnym braku pretensyonalności.

Czy można porównać z tem taką np. „Panienkę z okienka“, dawaną obecnie w Teatrze Nowości? Nieuctwo autora (Stojanowic) idzie tu w zawody z brakiem inwencji, a dyrektor Śliwiński zapewnia, że operetka ta grana była kilkaset razy z rzędu w teatrze „An der Wien“ w Wiedniu. Ale co tu mowić o jakimś Stojanowiczu, kiedy najbardziej utalentowani i wykształceni twórcy operetek wiedeńskich (Leo Fall, Oskar Strauss, Lehar) nie mają odwagi, czy nie umieją zerwać z tym nieznośnym szablonem, który zmusza śpiewaków do ciągłego tańca i ewolucji baletowo-cyrkowych, skutkiem czego muzyka obraca się jedynie w sferze walca, *cake-walk'a* i marsza. Nie żądam, aby młodzi kompozytorowie naśladowali Aubera, aby powrócili do epoki minionej, ale czas już pomyśleć o wydobyciu się z obecnej banalności walcowej, o jakiem takiem uszlachetnieniu operetki — a do tego może się okazać pożytecznem poznanie dawnych mistrzów opery komicznej; kto chce pracować dla przyszłości powinien znać przeszłość — dlatego to niema prawdziwej kultury bez — tradycji.

Jako przykład powstania „nowego“ dzieła, przez umiejętne połączenie nienowych i nawet sprzecznych na pozór pierwiastków, posłużyć może opera Humperdincka „Jaś i Małgosia“, wznowiona d. 4 kwietnia w Teatrze Wielkim. Autor wziął jako tekst znaną wszystkim dzieciom baśń, osnuł muzykę na popularnych piosenkach ludowych i dziecięcych (przeważnie z Westfalii), i opracował te tematy na sposób nowożytnych poematów symfonicznych z niesłychanem bogactwem polifonji i najbardziej wyszukaną instrumentacją, zastosował po części wagnerowską teorję „motywów przewodnich“ — i utworzył operę *sui generis* t. j. nieznanego dotychczas rodzaju, a więc nie „modernistyczną,“ t. j. naśladującą ostatnią modę, tylko poprostu „nową“, pomimo, że nie ma w niej żadnych nowych pierwiastków, — albowiem Humperdinck nie jest geniuszem twórczym pierwszej klasy tylko bardzo wykształconym, utalentowanym i kulturalnym muzykiem.

Jedyny zarzut, jakiby można zrobić tej operze, to—posunięta aż do zbytku „kosztowność“ szaty orkiestrowej i roboty polifonicznej; jest to prawie ociężkie jak na operę i do tego operę „dziecięcą“. Przychodzą mi na myśl portrety dzieci królewskich, np. owe wystrojone „Infantki“ Velasqueza, tak pretensjonalnie wyglądające. Ale z tem wszystkiem infantki są przepysznie namalowane, a opera Humperdincka jest w każdym razie dziełem dużej wartości, oryginalnie pomyślanem i po mistrzowsku wykończonem.

Fr. Brzeziński.

JÓZEF OLSZEWSKI, Dyr. Ligi Pomocy przem.
KRAKÓW.

Zabawkarstwo drzewne.

Zabawka drewniana jest, jak zdaje się, jednem z najstarszych bawidełek na świecie. Człowiek pierwotny prawdopodobnie strugał już z drzewa różne przedmioty dla zabawy potomstwa. W starożytności, kiedy nie znano jeszcze zabawek metalowych, bawiono dzieci zabawką drewnianą obok glinianych. Można nawet śmiało przypuścić, że zabawka drewniana przyczyniła się do rozwoju snycerstwa i rzeźby, boć na niej kształciły się wieki odległe w nadawaniu materjałowi drzewnemu form i linji.

W Polsce zabawka drewniana jest najstarszą formą przemysłu zabawkarskiego, starszą od ceramicznej. Fabryk zabawek drzewnych nie mieliśmy w Polsce nigdy, ale już od najdawniejszych czasów szeroko był tu rozwinięty domowy przemysł zabawek drewnianych. Nie było na obszarze Polski żadnego odpustu, żadnego jarmarku, na którymby na straganach i kramach odpustowych nie sprzedawano obok glinianych gwizdków, najrozmaitszych zabawek, wyrobionych z drzewa. Główne siedliska tego przemysłu domowego znajdowały się na Podkarpaciu, w okolicach podgórskich, a to tak dobrze we wschodnich Karpatach na Pokuciu i Huculszczyźnie, jak w zachodnich Beskidach, głównie w okolicy Żywca, Suchej, na Podhalu i t. d.

Typ polskiego wózeczka, zaprzężonego w parę koników drewnianych (wózeczek z cienkich deszczułek bukowych, zlekka narżnięty i wodną farbą pomalowany, a koniki olejną na czerwono barwione, o formach bardzo prymitywnych), rozpowszechniony był w całej Polsce. W niektórych okolicach, jak np. w Leżajsku wyrabiano oddawna piszczałki i fujarki drewniane. Było tu w całej okolicy kilkudziesięciu zawodowych fujarkarzy; niema też wątpliwości, że okolica Mościsk dostarczała tego artykułu, dając powód nawet do znanego przysłowia: „Fujara z Mościsk“. Istniał w Polsce wyrób prostych lalek drewnianych, całkiem niebarwionych, lub tylko trochę malowanych. Wyrabiano wiatraczki, najrozmaitsze dowcipne zestawienia małych figurek np. kowali kujących, zwierząt ruszających się, i t. p. Cały ten przemysł zaczął upadać z początkiem wieku XIX, odkąd do kraju z Czech i z Niemiec napływać zaczęły szablonowe, tandetne towary, masowo zagranicą fabrykowane, a między niemi i zabawki.

Głównymi niszczycielami krajowej wytwórczości zarówno w tym dziale, jak we wszystkich towarach odpustowych i jarmarcznych, byli nietylko żydowscy, ale także katoliccy kramarze i handlarze odpustowi, którzy dla wygody i dla większego zysku zaczęli sprowadzać z zagranicy tanie, brzydkie, obce towary i zalali niemi kraj, znieprawiając zmysł piękna u ludu, a podcinając nasz przemysł domowy. Dopiero w drugiej połowie XIX wieku głównie dzięki staraniom takich zasłużonych ludzi, jak ś. p. hr. Włodzimierz Dzieduszycki, Ludwik Wierzbicki, dalej dzięki opiece Sejmu i Wydziału krajowego, zaczął się powoli w kraju tworzyć ruch ku ochronie resztek wytwórczości przemysłowo-domowej i naszej sztuki ludowej, a zarazem ku uszlachetnieniu tych ważnych działów swojskiej kultury.

Ponieważ w okolicach Jaworowa istniały resztki przemysłu zabawkarskiego, utworzono w Jaworowie szkołę tego przemysłu. Na czele jej postawiono wybitnych, zawodowych kierowników, w osobach architektów lub malarzy, ale niestety okres ten trwał za krótko. Jednak już w kilkunastu latach istnienia krajowej szkoły zabawkarskiej w Jaworowie, w całej tej wytwórczości nastąpił niezwykle pomyślny zwrot ku lepszemu. Szkoła jaworowska nietylko kształciła doskonałych robotników, którzy mogli w przemyśle domowym stworzyć potężny żywioł produkcyjny, nietylko uszlachetniała i do prawdziwego artyzmu doprowadzała stronę estetyczną i jakość towaru, ale zaczęła już i pod względem handlowym stanowić dość poważny ośrodek produkcji. Zwierzęta drewniane, rżnięte w drzewie przez uczniów jaworowskiej szkoły, zwłaszcza zwierzęta domowe, figurki koni, krów — były już tak piękne, że wchodziły w zakres artystycznej galanterji i sztuki stosowanej, stanowić mogły prawdziwą ozdobę na biurku, w serwantce, na kominku, w salonie lub buduarze, urządzonym z wybrednym smakiem.

Drugie centrum drzewnej produkcji zabawkarskiej powstało dzięki staraniom Ligi Pomocy przemysłowej w Leżajsku, gdzie je nawiązano także do dawnej tradycji. W Leżajsku powstała na kilka lat przed wojną dobrze zorganizowana Spółka wyrobu zabawek drzewnych, kierowana przez fachowca, wykształconego za granicą staraniem Ligi Pomocy przemysłowej, a kosztem kraju. Spółka ta produkowała towaru za kilkadziesiąt tysięcy rocznie, miała maszynowe urządzenie, mogła więc walczyć z importem zagranicznym.

Dalsze miejsca produkcji powstały dzięki szlachetnym staraniom jednego z kół Towarzystwa Szkoły ludowej w Kulikach koło Złoczewa, gdzie zaczęto już doskonale wyrabiać mebelki, przybory ogrodowe dla dzieci i inne zabawki drewniane. Także w Krakowie były na kilkanaście lat przed wojną usiłowania stworzenia zabawkarstwa drzewnego, głównie z klocków do składania (domki, chaty polskie, brama Florjańska, Sukiennice, składane z deszczułek drewnianych). Niestety, usiłowania te za słabo popierane, nie rozwijały się i nie dały poważniejszych rezultatów. Wojna zniszczyła prawie wszystko, co dotąd w tym kierunku zdziałano.

Wydział Krajowy zniósł Szkołę zabawkarstwa w Jaworowie, a urządzenia jej przeznaczył na stolarnię dla odbudowy kraju. Niedobitki tamtejszych robotników zebrane zostały wprawdzie przez kilku ludzi dobrej woli i obecnie istnieje w Jaworowie mała fabryczka zabawek drzewnych, ale brak robotnika i lepszych materjałów utrudnia jej przetrwanie wojny i utrzymanie tam nadal tego przemysłu. Spółka zabawkarska w Leżajsku jest w zupełnym zastoju, a nie można uwolnić od zarzutu grona ludzi, którzy ją tam stworzyli, że nie próbują obecnie mimo przeszkód uratować ją i jej doskonałe a kosztowne urządzenia. Niema wątpliwości, że Krajowa Centrala gospodarczej odbudowy Galicji przyszłaby tej Spółce z poważną pomocą.

Liga pomocy przemysłowej mimo, że ma olbrzymi nawał zadań, nie zaniedbuje także i tego działu. Przy szkole inwalidów w Krakowie dopomogła Liga pomocy przemysłowej do zorganizowania w roku 1916 pracowni zabawek drzewnych, z zamiarem przyuczenia do tej produkcji całego szeregu inwalidów, którzyby powróciwszy do domów, wykonywali ją jako przemysł chałupniczy. Obecnie zakłada Liga Pomocy przemysłowej w jednej ze swoich „Szkół Pracy“ założonych na przedmieściach Krakowa, wzorową pracownię zabawkarstwa drzewnego, która zdoła może z czasem wyszkolić szereg niezbędnych instruktorów tego przemysłu.

Już przedtem Towarzystwo popierania przemysłu kobiecego zainicjowało w Krakowie produkcję zabawek drewnianych, deszczułkowych, malowanych, o typach swojskich, stawiając na czele pracowni siłę kobiecą, wykształconą w sztuce stosowanej. Pracownia ta jakkolwiek w początkach dopiero rozwoju, stwarza już rzeczy piękne i rokuje dobre widoki.

Organizacja zabawkarstwa drzewnego jako przemysłu chałupniczego prowadzona przez Ligę Pomocy przemysłowej, natrafia obecnie na wielką trudność, z powodu następujących braków: a) Brak w kraju materjału drzewnego, nadającego się do tej produkcji, a mianowicie: dość suchego i pozbawionego sęków drzewa miękkiego, t. j. lipowego, sosnowego, jodłowego i t. p. b) Brak lakierów, a zwłaszcza farb i lakierów spirytusowych, bez których produkcja jest niemożliwą. c) Niedocenianie tego pola twórczości krajowej ze strony sfer, rzekomo troszczących się stroną zdobniczą naszej produkcji. d) Brak dobrych, swojskich, dostatecznie pięknych modeli i materjałów. e) Brak dość silnej kapitalistycznie centrali handlowej, któraby wzięła na siebieześrodkowanie nakładczej produkcji i handlowego zbytu tego działu zabawkarstwa.

Liga Pomocy przemysłowej czyni co tylko może w tym ostatnim kierunku, ale mając pod swą opieką kilkadziesiąt najróżnorodniejszych gałęzi krajowej produkcji, nie jest w stanie każdą z nich zajmować się w sposób handlowy w pełnej mierze. Przyszłość zabawkarstwa drzewnego zależy więc od następujących warunków: Powinna jaknajrychlej powstać w kraju Spółka zabawkarstwa drzewnego z siedzibą w jednej ze stolic kraju, z kapitałem conajmniej 200,000 koron, jako centrala nakładcza. Spółka powinna mieć skład materjału drzewnego, narzędzi i maszyn narzędziowych (tokarni, piłek taśmowych do ręcznego i motorowego popędu, skład modeli i wzorów, skład farb, lakierów i t. p.) Spółka ta dostarczać powinna meterjałów i środków pomocniczych rozsianym po kraju i już dziś pracującym wytwórcom chałupnikom. Od wytwórców tych Spółka powinna pobierać wyroby, płacąc im od sztuki.

Dalszym warunkiem udania się akcji powinno być sporządzenie porządnego ilustrowanego katalogu, oddanie sprzedaży drobiazgowej Bazarom krajowym i Wystawom Ligi Pomocy przemysłowej, dopóki kupiectwo nasze nie wyleczy się z trwającej niestety ciągle jeszcze obojętności dla krajowej produkcji. Spółka powinna urządzać raz do roku poważny pokaz wyniku swej akcji dla zaznajomienia społeczeństwa ze stanem tej gałęzi produkcyjnej. Z czasem Spółka będzie musiała nająć jedno ze stanowisk na jarmarkach wiosennym i jesiennym w Lipsku, bez czego zbyt szerszy poza granice kraju nie da się pomyśleć. Kapitał Spółki powstać powinien w połowie z udziałów prywatnych, w połowie z taniej i długoterminowej pożyczki z funduszu państwowego i krajowego.

Akcję w granicach powyżej zakreślonych rozpoczęła już Liga Pomocy przemysłowej przed wojną i ma nadzieję prowadzić ją dalej skoro tylko warunki na to pozwolą.

Odbudowa kraju.

WACŁAW ROGOWICZ.

CHÓR PIELGRZYMÓW.

Dramat w 1 akcie.

2)

SĘDZIMIR (*całując ją w rękę*). Chciałem, żeby to i dla pani było niespodzianką. A znając szczególny kult naszego mistrza dla tego hymnu, umyśliłem z jego uczniami z Akademii zamiast zwykłej, banalnej owacyi z okazyi jego tryumfu, urządzić ten pochód. Wtajemniczyłem zaraz w swój plan wielkiego wielbiciela Andrzeja, księcia Dominika Gesso; był nim zachwycony. On też wyłożył na koszty chóru operowego, wypożyczenie kostyumów i t. d. Bo oczywiście połowa moich pielgrzymów nie otworzy gęby — byłby skandal; kilku z uczniów Andrzeja śpiewa — i tych amatorów forsownie ćwiczyliśmy; inni będą figurantami. Między nich wplecie się chórzystów, którzy znikną, gdy będą już niepotrzebni. Książe prosił, by ani słówkiem o jego udziale w zorganizowaniu tego pochodu nie wspominać. Urządzili to uczniowie mistrza Andrzeja — i koniec.

TONIA. A czy oni?... (*urywa*).

ANDRZEJ (*wchodzi z pudełkiem cygar, stawia je na stoliku z przyborem do palenia, otwiera nożem i częstuje Sędzimira, mówiąc podczas tego*). Gdzieś mi się zasunęły między inne pudełka. Proszę cię.

SĘDZIMIR (*bierze cygaro, obraca w palcach przygląda się barwie*). Dobre, mocne. (*Szuka w kamizelce obcinaczki, podczas czego Andrzej szuka tego samego na stoliku*). Dziękuję ci, mam już. (*Obcina cygaro i wolno zapala. Zaciągając się, z emfazą*),

Nadzwyczajne! Zwłaszcza po moim kapustosie (*ogląda dokładnie obrączkę*). Bagatela!... Upmann: bajeczna marka. Henry Clay'e popsuły się w ostatnich czasach... podobno. (*Bierze kilka cygar z pudełka i pakuje do kieszeni kamizelki. Do Andrzeja*). Nie palisz?

ANDRZEJ. Paliłem niedawno, dziękuję ci. Moja pani nie daje mi dużo palić: mówi, że mi to szkodzi. (*Spoglądając serdecznie na Tonię, do Sędzimira*). Widzisz — jestem już w niewoli.

SĘDZIMIR. Którejby ci niejeden pozazdrościł. (*Zwrócony do Toni, deklamuje*) „słodszego nad cię tyrana i słodszej niemasz niewoli", jak mówi Mickiewicz.

ANDRZEJ (*poprawia*) Zan.

SĘDZIMIR (*swobodnie*). Niech będzie Zan.

TONIA (*podczas całej tej sceny siedzi bez ruchu, patrząc badawczo na Andrzeja, przy ostatnich jego słowach uśmiecha się cicho, a po deklamacyi Sędzimira, naśladując jego ton, po przyjacielsku*)... większego niemasz gaduły.

(*Słychać dzwonek z głębi mieszkania.* ANDRZEJ *rzuciwszy:* przepraszam, *wychodzi naprawo*).

SĘDZIMIR (*do Toni*). Andrzej nic nie wie o tym chórze i nie domyśla się—prawda?

TONIA. Nic. Niby coś mu powiedziałam, ale ogólnikowo, że domyślać się nie może. Wie tylko, że jakaś niespodzianka wieczorem go czeka... (*naraz smutniejąc, wolniej*) o ile jeszcze pamięta, bo dziwnie rozstrojony jest dziś i milczący. (*Znów zamyśla się*).

SĘDZIMIR. Rozstrojony, milczący, w tym dniu swego podwójnego tryumfu?...

TONIA. Tryumfu. (*Chwilę milczy*). A jednak, coś mu jest. (*Opiera brodę na ręce i patrzy w dal*).

(*Zamyślają się oboje*).

SĘDZIMIR (*marszcząc brwi*). Hm,—(*do siebie*) to mi się nie podoba...

TONIA (*cicho*). Co pan mówi?

ANDRZEJ (*wchodzi z paczką listów i telegramów. Idąc, przegląda. Głośno*). New-York, Londyn, Montreal, Palermo, Bukareszt, Frankfurt, Moskwa... (*z goryczą*)... tylko z kraju nic... Skądże?... tam mnie przecie nie znają... Czasem w korespondencyach spotkam w gazetach nazwisko Fellinga... (*urywa nagle, siada na dawnem miejscu i chowa papiery do kieszeni*).

TONIA (*zapatrzona przed siebie, machinalnie*). Z kraju... (*trwa w zamyśleniu*).

SĘDZIMIR (*żeby coś powiedzieć*). Dużo dowodów pamięci dostajesz, Andrzeju.

ANDRZEJ (*z lekką ironią*). Zapewne. (*Wskazując ręką kieszeń z papierami*). Tem się bardzo nie wzruszam. W świecie cywilizowanym posłanie depeszy gratulacyjnej nie więcej przecie znaczy od uchylenia cylindra. Należy to do trybu ich życia, tych panów i pań, pamiętać o okazyach zaznaczenia swego dobrego wychowania. Trzeba te objawy grzeczności brać tak, jak one są, nie przeceniać ich. (*Pauza*). — Tu są banalne komplimenty. (*Wskazując paczkę gazet na stole*). Tu będą ciekawsze, bo prawdziwsze rzeczy: ignorancya, zawiść, perfidya lukrowana...

TONIA (*z serdeczną prośbą w głosie*). Nie czytać — dobrze?

ANDRZEJ (*z gorzkim uśmiechem*). Trzeba, dziecko, i te pigułki połknąć. Ziarnka gorczycy, o których mówi poeta.

TONIA (*patrzy na zegarek i wstaje*). Zostawiam tu panów. Zajdę odwiedzić biedaka Kaleńskiego. Za małą godzinę będę z powrotem. Potem... (*z tajemniczym uśmiechem*) ułożymy program dzisiejszego wieczoru.

SĘDZIMIR (*sentencyonalnie*). Polecają się w tym programie łaskawej pamięci i potrzeby grzesznego ciała!

ANDRZEJ (*wesoło*). Chwalebna przezorność po wczesnym dzisiejszym obiedzie. Więc kolacya w Café de Paris, czy u Larue? A może Prunier, Payard — jak decyduje nasz radca gastronomiczny?...

SĘDZIMIR (*uroczyście*). Mój kochany: Prunier — tylko śniadania, Payard — dla cudzoziemskich snobów, Café de Paris— za pontyfikalnie. Jestem za separatką u Larue: pieczyste tam—palce lizać!

ANDRZEJ (*j. w.*). Wniosek przyjęty bez dyskusyi. Oczywiście, cały wieczór spędzisz dzisiaj z nami? Nie zaangażowałeś się nigdzie?

SĘDZIMIR (*z komicznem oburzeniem*). Za kogo mnie masz?! Rozumie się. (*Z ukłonem dla obojga*). Je suis à vos ordres. A propos Kaleńskiego: byłem dziś przed południem u niego i...

ANDRZEJ (*przerywając*). Jakże się ma?

SĘDZIMIR (*wymijająco*). Jak zwykle. (*Ciągnąc swoje*). Oznajmiłem mu oczywiście nowinę, (*z uśmiechem*) tę, o której gazety nie doniosły.

TONIA (*z niezadowoleniem*). Tak pana język świerzbiał?

ANRZEJ (*jednocześnie*). Oj, ty roznosicielu plotek!

SĘDZIMIR. Przepraszam cię. Chyba to nie jest plotka (*Do obojga*). Zresztą, o dyskrecyę nie prosiliście mnie. Gdy mnie kto zobowiąże do milczenia, jestem...

ANDRZEJ (*przerywa mu*). Jak sito!

SĘDZIMIR (*z patosem*). Żebym tak nie doczekał dzisiaj kaczki à la rouennaise u Larue—jeśli to jest prawda! (*Po chwili poważnie*). Wiem zresztą przecież... komu mówię.

ANDRZEJ (*kiwa nieznacznie głową*).

TONIA (*przy ostatnich słowach Sędzimira, których słucha z odwróconą głową, zamyślona, mówi nawpół z ironią, nawpół z wyrzutem, nie odwracając głowy i cicho:* Właśnie... (*Wchodzi wolno na schody i znika na górze*).

ANDRZEJ (*przegląda na stole gazety*).

SĘDZIMIR (*chodzi wielkimi krokami po pokoju, paląc nerwowo cygaro. Staje, spogląda na schody, potem na Andrzeja, wzrusza ramionami, podchodzi do Andrzeja i mówi szybko, półgłosem*). Dobrze, że Tonia wychodzi. Muszę z tobą pomówić we cztery oczy.

ANDRZEJ (*odrywa się niespokojnie od gazet*). No, cóż takiego?...

SĘDZIMIR (*wskazuje wzrokiem Tonię, schodzącą powoli ze schodów, ubraną do wyjścia i patrzącą badawczo na obydwóch*).

TONIA (*wciągając rękawiczki*). Więc za małą godzinkę zastanę tu panów?

SĘDZIMIR (*skłania głowę*). Wedle rozkazu. (*Siada na miejscu Andrzeja i zabiera się do stosu gazet. Nawpół do siebie*). Ciekawe, co też te augury nabazgrały o tobie.

ANDRZEJ (*odprowadza Tonię do drzwi od ogrodu; tam, rzuciwszy okiem na odwróconego tyłem Sędzimira, łączy się z nią długim pocałunkiem*.

TONIA *odrywa się i szybko zbiega z tarasu do ogrodu, na lewo*.

ANDRZEJ *stoi jeszcze czas jakiś w progu, patrząc za nią i śląc coraz pożegnania dłonią. Drzwi od ogrodu zostawia otwarte, rozchyla żaluzye obocznych okien i wolnym krokiem wraca do stolika, przy którym czyta Sędzimir. Siada. Chwila ciszy*).

ANDRZEJ (*wchłaniając powietrze*). Jak to się zaraz chłodnie zrobiło. Słońce lada chwila zajdzie.

SĘDZIMIR (*porzucając gazetę, niedbale wyciągnięty w fotelu, nawpół do siebie, mimowiednie*). Tonia wyszła... zaraz się chłodniej zrobiło...

ANDRZEJ (*jakby go poprawiając, nerwowo*). Bo słońce lada chwila zajdzie...

SĘDZIMIR (*j. w.*). A tak... Zaraz chłodniej... Słońce zachodzi...

ANDRZEJ (*gwałtownie, jakby porwany lękiem*). Jeszcze nie.

SĘDZIMIR (*j. w.*). Ale niebawem zajdzie— (*wyciągając rękę ku ogrodowi*) patrz!...

(*Chwila ciszy*).

ANDRZEJ (*rozstrojony*). Otworzyłem i okna... strasznie było gorąco... nie czułeś?..

SĘDZIMIR (*nie odpowiada*).

ANDRZEJ (*wyrzucając z siebie jednym tchem*). Miałeś mi coś do powiedzenia na osobności. Sądzę, coś ważnego. Słucham.

SĘDZIMIR. (*Siada prosto w fotelu i patrzy wyczekująco na Andrzeja*).

ANDRZEJ (*podniecony*). No?... na co czekasz?...

SĘDZIMIR (*cierpko*). Po twem całem zachowaniu się sądząc, spodziewałem się coprawda, że to ty mi się sam zwierzysz z czegoś, co cię najwyraźniej trapi w tym dniu twego podwójnego święta, że... mnie właśnie się zwierzysz... (*Czeka*).

ANDRZEJ (*niecierpliwie*). Nic mi nie jest. Coś ci się przywidziało. Zamiast tej indagacyi, wejdź odrazu in medias res. Bez wstępów. Słucham.

SĘDZIMIR (*urażony*). Twój dziwny ton nie zachęca do przyjacielskiej rozmowy. Przepraszam, żem cię rozdrażnił. Myślałem, że zasługuję na twe zaufanie, że... (*milczy chwilę, bębniąc palcami po stole*)... zdobyłem sobie w sercu twem pewne prawa, pewne przywileje... Boli mnie, że...

ANDRZEJ (*przyjaźnie, kładąc mu rękę na kolanie*). Dajże spokój, mój drogi, nie gniewaj się. (*Chmurniejąc*). Istotnie, jestem dziś dziwnie rozstrojony i może krzywdzę cię, że się nie zwierzam, ale... (*po chwili wahania, zwieszając głowę*) człowiek nie zawsze może sam sobie zdać sprawę ze stanu jakichś obaw, niepokojów...

SĘDZIMIR (*udobruchany*). Czy twe... wasze postanowienie wywołuje w tobie ten stan?

ANDRZEJ (*głucho*). Tak.

SĘDZIMIR (*patrzy badawczo na Andrzeja*). Czy nie będę niedyskretny, zadając ci jedno pytanie w tej sprawie?

ANDRZEJ (*siląc się na spokój*). Proszę cię.

SĘDZIMIR. Dlaczego... dopiero teraz zdecydowałeś się na związek z Tonią? Tak dawno przecie wiesz o jej uczuciu, wyhodowałeś sobie jej miłość sam, wychowując od dziecka tę uroczą dziewczynę—no i nie od dziś chyba patrzysz na nią nietylko ojcowskim wzrokiem?...

ANDRZEJ (*wymijająco, ze wzrokiem, utkwionym w dal*). Zdaje ci się, że to tak łatwo przejść ten Rubikon...

(D. c. n.).

W ODMĘCIE.

Wzburzone piekielne odmęty!
na statku mym złamał się ster...
Mój żagiel, mój żagiel zwinięty — — —
Maszt główny na poły pęknięty...
Wnet pójdę złym falom na żer...

Raduje się ciemny ocean;
wciąż bryzga zniewagą swych pian.
Jak requiem dziś grzmi jego pean:
— „Ocean! ja jestem ocean!
„Tyś słaby!... Jam mocarz!... ja pan!“...

Lecz czekam swej śmierci bez lęku;
zatonę wyzbywszy się trwóg — — —
Potężny ster miałem w swem ręku.
Złamałem go sam... I bez lęku
umieram — — — gdyż życie:—mój wróg!

Bolesław Zahorski.

ORY JELSKA.

EWUNIA. 7)

Tańczymy niewiele, pan Kempner nie lubi tańców.—„Powadze uchybia!“

— Czyż jestem aż tak poważny?

Śmiejemy się. Jest ogromnie łatwy, godzę się nawet z jego *pincenez*.

Kamilka śledzi z pod oka, znalazła chwilę by przysiąść do nas. Brak jej jakiegoś zmysłu subtelności, nie umie gry swej ukryć i czyni to niezręcznie. Rozpływa się nad bratem, jego zaletami, jego szczęściem do ludzi. Fałszywy ton!

Wysuwam się.

Mama drzemie na kanapce, kilka matron sennie rozmawia o nowym sposobie karmienia indyków.

— Jedźmy, mamusiu!

— A jedźmy!

Kamilka przybiega.

— Jakto, dopiero teraz rozpoczyna się zabawa, jeszcze pierwszej niema, czego tak spieszyć?... Jeśli boimy się nocy, dadzą nam konnego z kagańcem, choć księżyc późno zachodzi.

— Voyons ce n'est pas gentil.

— Niech panie nie uciekają.

Zbliża się jej mąż, milczący szlachcic z wielkiemi sumiastemi wąsami. Ciągnie przez nos śpiewnym litewskim akcentem.

— Doprawdy, żona ma racyę, jeszcze strasznie wcześnie, czego panie tak śpieszą?

Darmo biedak zmusił się do wypowiedzenia tylu słów, wymawiamy się stanowczo. Wracamy.

Śliczna noc mroźna, błota stoją zamarznięte, śniegiem przykryte. Gdzieniegdzie wiatry śnieg zwiały i w szklistej powierzchni lodu przegląda się tarcza księżyca. Wokoło jak okiem sięgnąć, ogromna biała równina i cisza na niej, my jedni ją tylko mącimy. Sanki suną chyżo po wyślizganej koleinie i konie parskają, a echo dzwonków rozbiega się hen... daleko! Mama śpi na dobre okryta futrami, głowa jej niknie w wielkim kołnierzu z białych kóz; mnie w myśli staje cały ten wieczór spędzony w towarzystwie pana — kandydata na męża mojego. Ogólne wrażenie — dobre, tak to pewne, podoba mi się więcej od kogokolwiek z całej naszej młodzieży, która kolejno ubiegała się o moje względy.

Więc co?

Czy raz już zdecydować się, położyć koniec czczym marzeniom, zdławić nadzieję, co się jeszcze w jakimś zakątku duszy gnieździ? Tak, wyjść za niego, na życie patrzeć trzeźwo, brać je takiem, jak jest, dobrze mówią francuzi „ne cherchez pas midi á quatorze heure!“ Ostatecznie kto mi zaręczy, że nie wybiorę owej lepszej cząstki w losach naszych? Phi, i może za lat kilka nauczę się nosić przydeptane pantofle i zasmolony fartuch, a służbę krzykliwie łając będę za ściąganie nafty, czy cukru. No i przejdzie mi życie ogromnie czynne, ogromnie użyteczne, może nawet zapomnę, iż kiedyś... kiedyś wydało mi się, żem z innej stworzona gliny, niż ten cały szary tłum, co się przesuwa codziennie przed naszemi oczyma... Co za zarozumiałość!

* * *

Ojciec zawołał mnie do swego pokoju. Byłam przygotowana, wiedziałam, iż mnie to nie minie i starałam się przytłumić rozdrażnienie.

— Mój papo grajmy w otwarte karty,— zaczęłam widząc, że ojciec niby dyplomatycznie chce się wziąć do dzieła.

— Uradziliście, że mogę być panią Kempnerową, że nasze osoby, majątki, rodziny, czy ja wiem, enfin, że pasujemy do siebie i, daliście nam możność obejrzenia swych osobistości i teraz Kamcia zapewne jego, a ojciec moje chce usłyszeć zdanie.

Ojciec podniósł jedną brew do góry, czekał.

— Otóż według mnie, jesteśmy: dwa bieguny! — Poruszył się niespokojnie, wydął usta.

— Moja mała, czego ty chcesz, panie tego? to porządny człowiek, bogaty, z dobrej rodziny, rozsądny podobno, zupełnie porządny człowiek.

Mnie to określenie targa nerwy, brzmi jak: nie ukradł, nie zabił, nie zrujnował nikogo, ale jakim jest w domowem pożyciu, jakim dla żony, rodziny, dzieci o to nikt nie pyta, tego, słowo to nie obejmuje, to niema nic wspólnego. Przecie i ojciec też porządny człowiek!

— Niech ojciec posłucha; jesteśmy zupełnie, krańcowo różni — to wiem, ale za trudno mi w jednej chwili stanowczy sąd wydać, muszę mieć trochę czasu, by się namyślić, samej oswoić się z tą myślą, zobaczyć, czy nie zawiele biorę na swe barki. Zresztą chcę go lepiej poznać, jednorazowe widzenie nic nie znaczy, działajmy rozsądnie!—Czy to ja to mówię? Nie wierzę sobie!

— Jak chcesz, nie przeszkadzam, ale mylisz się jeśli myślisz, że go lepiej poznasz, phy! jeśli poznasz, to po ślubie. Co tu się namyślać, dawniej rodzice sami mężów według swej woli wybierali i dobrze było.

— A prababki nasze myły się raz na tydzień i zdrowe były? — pytam rozdrażniona.

— Co tu moja mała z tobą gadać.—Ojciec dmucha sobie w palce, czyni to ilekroć razy jest zły.

Siadam do fortepianu i drę się jak mogę najgłośniej jakąś głupią piosenkę.

* * *

Kempner przyjechał z wizytą. Siedział bardzo krótko choć ojciec zatrzymywał go na herbatę. Ze mną rozmawiał niewiele.

Jaka mama przeraźliwie naiwna! mało domyślna. Kiedy nam powiedziano, że przyjechał, szyłyśmy dla ochronki, ciepłe dziecinne kaftaniczki, całą suknię miałam pełną nitek, stanęłam przed dużem lustrem, by je trochę pozbierać.

— Chodź prędzej—nagliła mama.

— O nie warto się spieszyć, nacieszy on się mną jeszcze przez całe życie!

Zdumiony wzrok mamy!

Mnie śmiech porwał. Objęłam ją za szyję, mama nie przyzwyczajona do moich pieszczot coraz bardziej się miesza.

— Ha, ha, ha! więc mateczka nie widzi, że to kupiec na mnie, czy mój posag.

— Fe, dziecko jak ty mówisz, — gdera łagodnie. Jednak widzę, że Kempner czyni na nią również dobre wrażenie, rozmawia z nim chętnie, on jest uprzedzająco grzeczny. Trafił w strunę, którą mnie może najbardziej zjednać. Mamę wszyscy zawsze trochę z góry traktują, nie liczą się z jej zdaniem, jakby za dziecko ją uważali, on przeciwnie stara się wyszukiwać tematy, któreby ją zajęły, potrąca rozmaite, jestem mu wdzięczna; poddaję literaturę naszą, potem angielską, ulubioną mamy, on zna słabo ten język, ale go lubi, czytał w dobrych przekładach polskich lub francuskich wszystkie arcydzieła, pamięć ma dobrą, cytuje wiele zdań, które mu

bardziej do smaku przypadły. Mama zadowolona, ożywiła się, rozgadała, panuje miła atmosfera, niespodziana u nas, ja mało się mieszam, wsunięta w głąb fotelu — słucham.

Teraz jest dobrze! jak długo tak będzie? Hm, poco zadawać sobie to pytanie, żyjemy z dnia na dzień i cieszmy się nadzieją!

* * *

Pan August bywa coraz częściej, zżył się z nami, zabawne! on stanowi jakiś łącznik między ojcem, mamą, a mną. Jego obecność działa na nas jakby kojąco. Umie uniknąć, obejść zdala każdą kwestyę drażniącą. Ma łatwość poznawania ludzi. Chodzimy z nim na długie spacery, czasami biorę łyżwy, idziemy na błota. On dobrze łyżwuje, jeździmy, trzymając się za ręce.

Jestem z nim coraz bardziej szczera, ja, co przywykłam wszystko w sobie zamykać. Staliśmy się dobrą parą przyjaciół; im więcej go poznaję tem więcej czuję dlań sympatyi. Powiedziałam mu to.

Przechylił głowę, sporzał mi w oczy.

— Nie, panno Ewuniu, przecież pani wie, że to dla mnie za mało.

Bawiłam się gałązką leszczyny, uderzając po spódnicy, by z niej śnieg zleciał. Gdzieniegdzie tkwiły sople lodu, odrywały się, spadały głucho i kruszyły się na drobne kawałki. Milczałam.

Wziął mnie za rękę—wyjął z niej gałązkę i dłoń moją do ust przycisnął...

Wysunęłam i — odjechałam...

Wróciłam pierwsza, cały wieczór było mi jakoś dziwnie przykro, wzrok jego ciężył nieznośnie, siliłam się aby być swobodną,—nie mogłam; czekałam z upragnieniem chwili herbaty, chwili jego odjazdu. Gdy nakoniec nadeszła — odetchnęłam!

(D. c. n.).

LEONIA GRABSKA.

SPĘTANI

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

Jerzy zniecierpliwiony szarpnął cuglami wierzchowca. Ale konie już były w biegu.

Kary anglik Zygmunta pędził jak szalony za szarą plamą lasów, która rozciągała się w dali, to znów zwężała na ciemnem tle łąk. Psy z początku kręcące się niespokojnie i węszące na wszystkie strony wstrzymywały bieg, za chwilę jednak schwyciwszy wiatru ruszyły śladem położonej powłoki. Tuż przy karym mknął kasztanek Niny. Dziewczyna była silna, ale koń męczył ją trochę. Czuła, jak ramiona jej wyprężają się i by nie minąć mastra parę razy zataczała wolty.

— Ruluje—zawołał tuż za nią Jerzy,— ostrożnie, bo przychodzi dość wysoka baryera, jeżeli pani nie chce jej wziąść, proszę skręcić na prawo.

Ale Nina wzgardliwie rzuciła ramionami.

— Zuchwała — pomyślał Jerzy, obrzucając ją zachwyconem spojrzeniem, a w tej chwili mignął mu kasztanek, sadzący przez wysoką poręcz. Ale i Zygmunt odwróciwszy głowę dojrzał skaczącego konia i podziw błysnął mu w oczach. Zgrabna figurka Niny jak przymocowana była do siodła. A tymczasem inni doganiali ich. Piękna baronowa jechała z wdziękiem i odważnie. Na doskonale ujeżdżonym koniu nie miała się czego lękać, czasem też przy większych przeszkodach zręcznie przejeżdżała obok, do czego jednak nie byłaby się nigdy przyznała.

— Stop — zawołał dojeżdżacz, psy przypadły do ziemi, drugie niespokojnie węsząc rozlatywały się niecierpliwie po rżysku.

Zygmunt znalazł się przy Ninie, której koń nie chciał stać spokojnie i rwał się naprzód. Pochylony poprawiał coś przy jej uździe.

— Przyjemność prawdziwa patrzeć jak pani jeździ, ręczę że wszyscy podziwiają i zazdroszczą — szepnął. — Proszę nie robić wstydliwej minki, a przyrzec proszę, że wzamian za opiekę będzie mi pani posłuszną.

— Jakto?

— Przy niebezpiecznych przeszkodach dam znak i pani objedzie bokiem. Zgoda?

Nina zacięła usta i nic nie mówiąc ściągnęła lejce. Ani jej w głowie cofać się przed przeszkodą! Dobrzy ci mężczyźni, sadzą przez płoty i rowy a jej chcieliby dawać przepisy. Przed oczami mignął jej głęboki rów. Zygmunt daje znak umówiony. Chwilę zawahała się. — Wtem przemknął Jerzy, ale koń jego zrefurował przed głęboką przeszkodą, jeździec niespodziewawszy się tego, spadł głową naprzód.

Nina bez namysłu ruszyła naprzód, chcąc pokazać, że mimo tego nie ulęknie się. A oto już i Jerzy na siodle. Kasztanek podcięty szpicrutą przesadził rów.

— Brawo! — krzyknął za nią Jerzy, doganiając odważną amazonkę, niepomny już swego upadku, dumny z zwycięstwa Niny, która upojona, rozgrzana, pędziła zaróżowiona od biegu, z lekko rozwianemi włosami.

A tymczasem psy wpadły na smugę łąk, która długim, wąskim pasem ciągnęła się wśród lasów. Teren był nierówny, śliski, tu i tam potknął się koń pod jeźdźcem.

— Wolniej! — wołano, ale Nina mając wciąż przed oczami Kirgiza pędziła naprzód, rada że nie potrzebuje mocować się z koniem okrytym pianą. Rzucał głową, parskał i rwał za się innemi. Nina oddychała pełną piersią, szybka jazda zapach skoszonego siana, cała krasa jesieni polskiej, wszystko to odurzało ją. Byłaby tak pędziła bez pamięci do utraty sił.

Teraz konie wydostały się na obszerne ubite pastwisko o wypalonych trawach. Pastwisko te przylegało do małej rzeczki gdzie zwykle pojono konie, i tam też miało mieć miejsce Hallali.

Zygmunt dał znak, konie wyprężone rwały całą siłą i każdy chciał pierwszy dopaść lisa, który w tej chwili się ukazał. Głosy goniących ogarów szerokiem echem odbijały się w pobliskim lesie i mieszały się z nawoływaniem dojeżdżacza, lub wykrzyknikami jeźdźców, napędzających swoje konie. Kary folblut Zygmunta byłby bez wątpienia wziął kasztanka Niny, który choć bardzo szybki jednakże jak każdy hunter nie mógł się mierzyć z wytrenowanym folblutem. Jednakże dziwna rzecz, Zygmunt został zupełnie w tyle, jak później opowiadał, — zaplątało się coś w uprzęży. Nina obejrzała się. Kasztanek party z tyłu przez doganiające go konie, leciał jak wicher.

Ale mądry zwierz nie dawał za wygranę, przyczaił się pod małym stożkiem siana i na chwilę zmylił trop. Lecz jeden z psów poczuł go, zaskomlał i pędem ruszył za lisem, który kołując przypadał do ziemi i zmieniał kierunek byle uniknąć pogoni. Psy wreszcie zabiegły mu drogę i zwycięskie dobiegły go. Przez chwilę widać było tylko rudą plamę, migającą między żywą masą żółto łaciatych psów, później wszystko ucichło. Ostre pazury i kły ogarów pokonały lisa, a wtórował mu wesoły okrzyk myśliwych: Hallali! Hallalli!

Nina odwróciła głowę. Nie lubiła tego zakończenia, ostatecznie było to okrucieństwo. Zapomniała o swem pierwszeństwie, przejęta przykrym widokiem.

Kilku młodych ludzi zrównało się z Jerzym.

— Ładna, co? — zagadnął jeden z nich, wskazując na Ninę — rasowa panna! Ta musi mieć temperament, znam się na tem; jak sadzi przez rowy, a jaka zapalona, ho! ho!

Jerzemu przypomniała się historja z głębokim rowem, to też rzekł:

— Za nadto odważna, widać że nie zna niebezpieczeństwa.

Mały, niepozorny hrabia Okoński, skrzywił się, ironicznie cedząc przez zęby:

— Nie dystyngowana, pas mon gout, kto widział pędzić tak na oślep. Żonie za nic nie pozwoliłbym się tak zapominać.

Młodzi roześmieli się, każdy z nich znał panią Misię i wiedział, że trzyma męża pod pantofelkiem. Jerzy tylko zły i podrażniony wzruszywszy ramionami, ruszył na poszukiwanie Niny. Zastał ją otoczoną wesołą gromadką mężczyzn, zasypujących ją komplementami. Wreszcie dostał się do niej przebojem.

— Brawo! a więc przy pani dziś zwycięstwo—winszował, oprawimy pięknie lisią kitę i zachowa ją pani na pamiątkę.

Pani Iza przechylona z breaku z rumieńcami ożywienia na bladej twarzyczce, unosiła się z entuzjazmem nad odwagą, zręcznością i zimną krwią przyjaciółki.

— Jeździsz jak amazonka, doprawdy Nino, widząc cię na koniu żałuję, że i ja się z tym sportem nie zapoznałam. Ach jak ty wtedy sadziłaś przez ten wielki rów, to choć struchlałam, muszę przyznać że byłaś niezrównana.

— Przestań, Izo, doprawdy gotowam uwierzyć i zrobisz ze mnie zarozumiałą osobę, — żartowała panienka, ale usta dziewczyny nie były uśmiechnięte a spojrzenie błądziło między gronem czerwonych fraków, jakby szukając kogoś.

Wśród gromadki mężczyzn stał Zygmunt, przewyższając wszystkich wzrostem, smukły, rasowy, odpowiadając uprzejmie na liczne, zadawane mu pytania. Szczególniej z przyjemnością pozwalał podziwiać Kirgiza, dumny z jego powodzenia i zalet. Ninę to ubodło. Więc koniem się zajmuje, psami, wszystkiem, tylko dla niej ani słówka pochwały, ani uznania. A tak jej zależało na zachęcie z jego strony. Taki znawca i jeździec doskonały powinien przynajmniej okazać jej swe zadowolenie. Wszakże mówił, że pod jego okiem po raz pierwszy bierze udział w polowaniu, a teraz udaje, że jej nie widzi i ma taką surową twarz jakgdyby się o coś gniewał.

Milcząc wracała do domu, stępa obok breaku i słuchała ożywionej rozmowy pań, z których każda opowiadała o swych wrażeniach i spostrzeżeniach. Najwięcej przejęta była pani Mirska. Starsza kobieta ogromnie zajmowała się zabawami młodzieży, zaciekawiały ją, bawiły i jak mówiła, choć sama nie młoda, żyła ich życiem.

— Uważałaś Izo, jak odważnie jeździ ta nasza faworytka Kocia. Dzieciak jeszcze szesnastoletni a już umie dać sobie radę z koniem.

— Ach, Jerzy dobrze je wytresował, posłuszne, jeżdżą ogromnie uważnie i według mnie bez temperamentu.

— To chyba Stasia, trochę powolna z natury i przytem mająca ciężkiego konia, ale nie Kocia, to iskra nie dziewczyna — upierała się pani Mirska, zakochana w swej najmłodszej siostrzenicy.

— Moja ciociu, dziwię się, że nie zachwycasz się równie Dulą. Najpierw stanowczo lepiej jeździ od Stasi i Koci a powtóre jako przyszła żona Jerzego podwójnie jest cioci blizka.

— Ech, przestań, wy wszystkie dokuczacie mi Dulą. Jakby to już każda kobieta musiała być ładną i szykowną. Cóżby zostałoby się biednym pannom? A Jerzy jest głuptas i lekkoduch, przy jego manii wyrzucania pieniędzy taka żona majętna i dobra jest skarbem prawdziwym.

IZA BRONIKOWSKA.

Sâdhâna

(Urzeczywistnienie życia).

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

— Jakże? Straci szczodrego przyjaciela; a zresztą może i nie. Krótko już będziesz w Oxfordzie, więc właściwie niewarto pozbawiać ją dochodów dla przyczyn mało widocznych.

Dick krzywi się. Nie jest wcale pewny, czy nie najgodniej byłoby zacząć teraz gwizdać.

W furtce Ania przystaje.

— Do widzenia, Dick.

— Anny, czy ty aby nie masz do mnie żalu?...

I jest już gotów rozpocząć swe wywody na nowo.

— Chłopaku drogi, czuję się ogromnie wzruszona twem szczęściem. Kochacie się bardzo? Ethel— („o jakież strasznie, strasznie gorzkie imię...) przyjeżdża pewno na bale w Komemoracyjnym Tygodniu? Tak, więc musisz nas koniecznie zapoznać, abym jej mogła powiedzieć wiele złośliwych ploteczek o tobie. Zobaczysz, jak cię obgadam! Co za szkoda, że nie zaznajomiłeś nas dzisiaj. Słyszałam, że cały dzień była w Oxfordzie. No — pa! Szczęśliwy narzeczony!

— I zawsze będziemy się przyjaźnić, prawda, Anny?

— Ależ — bezwątpienia!

Patrzą na siebie podejrzliwie i niechętnie, jak ludzie w zbyt natłoczonym tramwaju. Zdaje się, że nareszcie powiedzieli już sobie wszystko.

Och, aby prędzej —! Zapomniała klucza; to ta przebrzydła Inga wyciągnęła go jej widocznie z torebki; służąca nie nocuje w willi; będzie trzeba kogoś zbudzić...

Poco on jeszcze idzie za nią?...

Wchodzą razem na schodki. Ania zniecierpliwiona wyciąga rękę:

— Żegnam.

Dick nagle, po męsku, zaczyna żałować; robi się czuły i przewraca cały, mozolnie zbudowany gmach. Przyciąga dziewczynę ku sobie.

— Anny! Nie bądź taka! Zrozum, to nie było możliwe; różnice pochodzenia — wyznania! Twoje wychowanie! Ja mam rodzinę — teraz narzeczoną, choć wierz mi, zrobiłem to więcej dla ciebie, niż dla siebie! Nie byłabyś ze mną szczęśliwa — a, tak... Malutka, ja cię zawsze będę kochał, nie zapomnę!... Tak mi żal — i... Anny, pocałuj mnie na pożegnanie! Drugi i ostatni raz. Najdroższa...

Zaczęła kołatać do drzwi gwałtownie, bez przerwy—; usiłował oderwać jej rękę od miedzianego młotka.

— Anny, cicho! Na litość, bo pobudzisz cały dom! Pozwól — ostatni raz — pozwól...

Pochyla się nizko, obejmuje ją silnie i wygodnie wpół i już spokojnie szuka jej ust ustami.

— Kochanie...

Niech przyjdą! Ktokolwiek — byle prędzej, bo nie zwyciężę siebie.

— Puść mnie zaraz — słyszysz! Puść— jęczy szaloną groźbą i wytężeniem przez zaciśnięte zęby.

— Puszczaj!

Ktoś wolno i niepewnie człapie po schodach w pantoflach. Blask zamigotał żółtawo w okienku nad drzwiami.

Dick obraża się na seryo:

— Ha — jeżeli nie chcesz. Nigdy wbrew woli — ty wiesz; ale w takim razie już — adieu — !

Zbiega ze schodków — zatrzaskując gniewnie furtkę.

Drzwi otwiera ostrożnie rozespany Mieronicz.

Opowiada, mrugając zapuchłemi od snu powiekami i drżąc z chłodu.

— Ale pani dzielnie hałasuje! Spałem już przynajmniej od kwadransa, ale się namyśliłem, że pewno złodzieje dobijają się do willi i że trzeba im na gwałt otwierać.

Ma ciemną marynarkę pospiesznie narzuconą na blado-różowy dół „pyjamy“ — i rozklapane pantofle na bosych stopach.

Przygląda się Ani troskliwie i gderze.

— A skąd to królowa wraca tak późno? Myśmy zdążyli już dojść pół godziny temu. Seryo, panno Aniu, takie wybryki szkodę pani przyniosą. Oj—niańki tu potrzeba, mamusi z rózeczką...

— Proszę mi nie zwracać uwagi! Proszę!... Purpurowa i drżąca z gniewu wyjmuje mu z rąk lichtarz i biegnie po schodach na górę. — Szeleści gazowemi spódniczkami po korytarzu i postawiwszy hałśliwie zapaloną świecę na ziemi, przy drzwiach Mieronicza, wpada do swego pokoju.—A więc — to tak!

Jest strasznie dumna z siebie: ma ochotę śmiać się razem i płakać. Upokorzenie i w całej pełni odczuty komizm sytuacji dławi ją prawie. Przypomina sobie różowe pajęczyny myśli na koncercie i szarpie je okrutnie, na strzępy — Dick!

Wielki, niemądry Dick, któremu oto postanowiła wyświadczyć najwyższą łaskę— zadrwił z niej sobie, wycałował jak sklepówkę i odszedł, pożegnawszy się wprzód, aż nazbyt uprzejmie... Natrząsa się i szydzi z siebie boleśnie, bez miłosierdzia. Przypomina sobie z wielkim podziwem i złością wszystkie słowa i gesty Dicka. Jego ostrożny, badawczy ton i nieprzełamaną pewność siebie. Coby zrobił w podobnym wypadku inny? Taki idyota Mieronicz naprzykład? Nie powiedziałby nic, albo powiedziałby zbyt dużo i rzecz cała zamieniłaby się w tragicznie niesmaczny skandalik. A tymczasem to jasnowłose, śliczne jak grecki bóg zwierze, załatwiło całą rzecz po gentlemańsku, dowiódłszy jej mniej więcej logicznie, że to on właśnie jest — pokrzywdzony! Rozbierając się pospiesznie, śmieje się krótkimi, urywanymi szlochami.

Sama na razie nie wie czego chce. Gniew nią trzęsie, a pragnęłaby do kogoś przytulić się a jednocześnie kopać kogoś i drapać do krwi—w napadzie pasyi. Na niewinną głowę Mieronicza rzuca w myśli grad najstraszliwszych klątw i wyzwisk za jego niewczesną „ojcowską“ przestrogę.

— Idyota! Opiekun!

Splatając na noc popielatą pelę włosów, boi się spojrzeć w lustro, tak żałośnie zabawną musi być w tej chwili jej własna twarz. Przez chwilę leży w ciemnościach bez ruchu.

Nie chciał cię! A widzisz, ani mu się śniło... Zaczyna nucić cichutko, sobie samej na złość:

„Les diamants dans notre pays sont innombrables,
Les perles dans nos mérs — incomparables.
C'est l'Inde — terre de merveilles!...

Wzbiera jej nagle w piersiach zły, rozjątrzony spazm śmiechu.

SPROSTOWANIE.

W № 19 „Bluszczu“ w powieści „Sadhâna“ przez pomyłkę opuszczono cały ustęp — a mianowicie: po wierszu 66 na str. 151 w szpalcie III-ej. Ustęp ten zamieszczamy w numerze bieżącym, powtarzając następny dla dopełnienia całości.

Kryje głowę w poduszkę i zwyciężona wybucha długiem — tłumionem łkaniem. — Płacze, płacze, prędko, gwałtownie, jak małe, niegrzeczne dziecko i jak dziecko — usypia w końcu z uśmiechem.

„Zali kto zgadnie, skąd przychodzi uśmiech, który igra na ustach śpiącej dzieciny?

Oto wieść głosi, że młody, blady promień księżycowego sierpu dotknął się skraju niknącej chmury jesiennej — i wtedy to — w śnie rosą skąpanego poranka, narodził się po raz piewszy uśmiech...

Uśmiech, który igra na ustach śpiącej dzieciny... *).

NASZYJNIK Z RUBINÓW.

Dam tobie perły i klejnoty,
Dam tobie pierścień — szczerozłoty
Rycerskie łupy mej tęsknoty...

* * *

„Dziecinne powróć mi marzenia,
Wiarę w moc cudną odkupienia
Wiarę — że miłość wszystko zmienia.“

* * *

Oto pobladły skarby moje,
Oto wstąg krasnych zbladły zwoje
Oto, przed tobą — nędzarz stoję — —

* * *

A potem przyszły smutne, chore dnie...

Dusza drżała i kurczyła się żałośnie, jak zapomniany w odlotach jesiennych ptak.

Myślom — ospałym i krnąbrnym służebnicom nie chciało się jakoś wyciągnąć kojących, miękkich dłoni, otrząsnąć z wiotkich szat szarego pyłu upokorzenia i ucałować strasznie biednych przerażonych oczu.

I ból trwał.

Oplątał Anię szczelnie gibkiemi, długiemi splotami jak pędy powoju i jak powój kwitł nocą w wielkie, ciemne, czarowne kwiaty...

O nocy...

O kwiaty bólu serdecznego za tem co się nie stało i nie stanie, bo było nieprawdopodobne i nietrwałe i dlatego właśnie takie piękne...

Oto deszcz pada.

Złoty piasek na ścieżkach miniaturowego ogródka moknie, rudzieje, jak rdza. Biała, gęsta mgła drobniutkich deszczowych kropelek opada wszędzie — owija, wnika, otula szczelnie skrwawione serce.

Jak cicho... szaro...

We mgle blade, nikłe mary. Łkają cichutko pragnienia twoje, które niegdyś miały gorące usta purpurowe i zawrotne oczy — łkają nad tem, że nie mogą, że nie chcą zapomnieć.

Płaczesz nad sobą?

Leżysz samotna na łóżku; leżysz tak dnie całe nieruchoma, z oczyma utkwionymi w sufit i drapieżnie rozkoszujesz się głuchą ciszą, która jest w tobie, koło ciebie — jak dobry wspaniałomyślny cień.

A jednak płaczesz...

Opowiadasz sobie długie, niezwykle zawiłe powieści, o własnej niezmożonej, w stali kowanej dumie, odziedziczonej może po pradziadach hetmanach, a usta z ostrym gwoździem bólu w sercu, składasz do pocałunku, tak, jak wtedy.

Myślisz, myślisz i myślisz. I masz dziwne myśli. Przeżywasz w nich żywo i wyraźnie, to wszystko, co by mogło być, a nie wiesz, że takie właśnie nigdyby nie było i tęsknisz do obrazów ze srebrnego zwierciadła myśli swoich.

Widzisz tam, nienarodzone, śliczne gesty swoje i słowa...

I wierzysz, że byłabyś mu dobrą i słodką, jak cmie krasnej różowy, lepki kieliszek caprifolium.

I wierzysz, że miałabyś tam, w obcym, niezwykłym kraju, macierzyńskie prawie pieszczoty, dla jego jasnej, strudzonej głowy.

I że, przez miłość, umiałabyś jednak zmienić wszystko. — Nie siebie: jego i życie.

A czasem dziwnie bohaterskie marzenia śnisz i chcesz na siebie brać, odkupić jakieś wielkie zbrodnie, jakieś błędy straszne — (o których się jeszcze nigdy nawet nie będzie śniło.)

Z głuchą rozpaczą widzisz, jak powoli opuszczają cię ludzie; odsuwają się. Twój śmiech szklany i zabity wyraz oczu razi ich i odstręcza.

Pozostałaś się prawie sama.

Taka pustka... taka pustka...

Jesteś jeszcze tak strasznie młoda, że wierzysz niezłomnie w swe własne nieszczęście i dlatego jesteś naprawdę głęboko nieszczęśliwa...

O Aniu — Aniu...

Twoja biedna Pierwsza Miłość stoi w ogródku wśród czerwonych gron czimson rambler; ma stylowo załamane ręce, długie i wiotkie i suchotnicze wypieki na twarzy.

Nie oddasz mu bladego cudu swego chłopięcego ciała i nieszkodliwej tajemnicy zielonkawych oczu.

Nie będziesz mieszkać w Indjach w małym nizkim bengallov, śliczna żono skromnego, rządowego inżyniera i słuchać wieczorami na werandzie długich zawodzeń pieśni tubylców.

I nie pocałuje cię tak — już nikt.

A przedewszystkiem nie zapomnisz nigdy, a bardzo już niedługo przestaniesz cierpieć, bo z miłości nikt nie umiera, a przynajmniej nie ty, Aniu.

Zapewne będziesz nawet bardzo szczęśliwą i o wiele mniej wytwornie nieszczęśliwą niż teraz. Ale już nie tak, kochanie — już nie tak.

I to jest właśnie smutek ukryty, ten najgłębszy, bo nieświadomy, którego się nawet nie przeczuwa, płacząc.

Taki smutek wieczny jest — on jeden, nie odchodzi.

Wracają dnie zwyczajne, letnie...

Twoja biedna Pierwsza Miłość kona pięknie.

Przymyka podłużne, bardzo nieszczęśliwe oczy, (smutne oczy Erigone-królowej „pełne muzyki i wina łez“), aby nie widzieć, jak szczerze jest opłakiwana przed śmiercią.

Z pierwszych rzutów powracającej do życia woli, rodzi się Czyn.

Pragnie oporu: urzeczywistnienia choć w części tego, czemu nie było przeznaczonym stać się.

Pragniesz wywołać dalekie echa pierwszego kochania, jego niejasne odbicie w zwierciadle wykonalności.

Rahju — czarny, milczący przyjaciel.

Daleki, jak baśnie kraj i królowanie w bogactwie.

Zemsta? Zazdrość?

Dziwny, nieobliczalny Czyn.

A może ty chcesz tylko przekonać się naocznie i dotykalnie, co ci z duszy zmarniało podczas klęski?

Wieczna, podejrzliwa, czujna autoanaliza.

„Obliczanie strat, albo eksperyment“.

Ania sama już nie wie; potrzebuje bardzo przekonać się, że jest jeszcze „zdolna do miłości“ — gdyż zupełnie szczerze zaczęła w to wątpić.

I ta wiosenna zielona nadzieja, że może właściwie nie zmieniło się w niej nic.

„Tamten odszedł, popłakała, wszystko było jak przed tem“ — (jak w powieści).

Chłodny, miły spokój.

---

*) Rabindranath Tagore. Gitanjali.

Kronika działalności kobiecej.

Damy angielskie przeciw... spodniom.

W Anglii obecnie kobiety pochłonięte są zupełnie kwestyami mody, tak męskiej, jak i żeńskiej. Na zgromadzeniu ligi kobiet pewna niewiasta wystąpiła gwałtownie przeciwko spodniom.

Krótkie spodnie, zdaniem prelegentki, są estetyczniejsze, patryotyczniejsze i wymagają daleko mniej materyału.

Zdaje się, że ten ostatni powód jest faktyczną przyczyną, dla której panie angielskie wypowiadają wojnę ineksprimablom.

Kobieta kapitanem okrętu.

W portowem miasteczku włoskiem Viareggio kapitanem handlowego parowca mianowano kobietę. Panna Eliza Bellnowin, która otrzymała to stanowisko, od dziecka kształciła się w żeglarskim zawodzie i będąc w szkole marynarskiej, była najlepszym uczniem.

Zbiory milionerki.

Muzeum instrumentów Boston Fine Arts otrzymało niedawno od milionerki miss Leslie Linsey-Mason niezwykle cenną i wartościową kolekcyę instrumentów. Na czele zbiorów widnieje bawarski róg myśliwski z XVII w., pokryty rzeźbami z życia św. Huberta. Cały zbiór obejmuje 560 okazów, z których więcej nieco niż połowa pochodzi z Europy, 140 z Azyi, 45 z Afryki i 60 z Ameryki.

Zwraca uwagę między innemi francuska kobza z 1800 r., dalej cenny kornet belgijski z początku XVIII w., flety z kości słoniowej, angielski róg z końca XVIII w., oraz współczesny mu puzon, roboty Astora.

Dalej w zbiorach znajduje się pierwszy klawikord, jaki zbudowano, wykonany w 1568 roku w Genui przez Onestiego Tostiego, włoski klawicymbał z początku XVII w., najrozmaitsze rodzaje gitar, skrzypiec i szpinet, zbudowany przez Andrea Ruckersa w 1610 r. w Antwerpii.

Bardzo rzadkim okazem jest „tromba marina“ z XVII w., wykonany w Cheshire w Anglii. Z instrumentów celtyckich znajduje się w zbiorach rodzaj liry, zwany „irwth“, pochodzący z XIX w. z Walii. Dalej mamy tam harfę, minstrelską gitarę z Cremony z r. 1765, i mandolinę neapolitańską z 1790 r., wreszcie gitary i cytry wyrobu angielskiego i francuskiego do 1800 r.

Wartość tych zbiorów jest poprostu nieoceniona i niezwykle ważna dla historyi instrumentów.

Stow. kobiet pracujących.

Odbyło się w Stow. kobiet polskich, pracujących w przemyśle, handlu i biurowości, doroczne zebranie ogólne.

P. Julja Goldfarth odczytała sprawozdanie zarządu za r. 1917, stwierdzające pożyteczną i owocną działalność Stowarzyszenia.

Sprawozdanie rachunkowe wraz z rachunkiem zysków i strat zatwierdzono, jak również zaakceptowano projekt budżetu na r. 1918 w sumie 4.900 marek.

Sprawozdanie z działalności wydziału pośrednictwa pracy odczytała p. N. Okurowska, sprawozdanie sekcji samokształcenia — p. M. Stanowska, sekcji bibliotecznej—p. M. Rakowska, sekcji klubowej — p. A. Sadkowska, sekcji redakcyjnej — p. Z Miklaszewska, sekcji żywnościwej — p. M. Zawadzka, komisji balotującej — p. A. Sadkowska.

Wybory dały wyniki następujące: na prezeskę zarządu wybrano ponownie p. Eugenię Waśniewską, na wiceprezeskę — p. Marję Stanowską, na członkinie zarządu — pp. Janinę Dützównę, Wandę Heinrichównę i Marję Taylorową, na zastępczynie członkiń zarządu pp. Irenę Gogólską, Helenę Piotrowską i Julję Samborską: do komisji balotującej wybrane są pp.: Irena Boska, Kazimiera Adamczewska, Helena Czaplicka, Zofja Lubodziecka, Julja Goldfarthówna, Janina Polkowska i Stanisława Tarnowska; do komisji rewizyjnej wybrane są pp.: Janina Kulczycka, Bronisława Medyńska i Eugenia Waśniewska, a na zastępczynie: pp. Zofja Dobrzańska, Celina Dojczmanówna i Jadwiga Pyrowicz.

TREŚĆ NUMERU:

OGŁOSZENIA.

Redaktorka i Wydawczyni: **Zofia Seidlerowa.** Druk J. Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34.

Za pozwoleniem cenzury niemieckiej.

Z KĄCIKA GOSPODYNI.

II.

Przegląd szatni.



№ 1. Kapelusz z czarnej tafty przybrany fantazyjną kokardą z tiulu. (Forma i sposób wykonania na zam. w adm. Bluszczu).

Słonko coraz mocniej dogrzewa. Ciepłemi promieniami całuje powłokę ziemską, a każdy pocałunek budzi nowe życie. Zielenieją łąki, pola i lasy; zwierzęta opuszczają zimowe legowiska, ptaki budują gniazda, pszczoły i motyle radują się do słońca. A i w sercach ludzkich budzą się nadzieje lepszego i jaśniejszego jutra. Każde jestestwo w przyrodzie ma równe prawo obywatelskie, każdemu wolno cieszyć się życiem, choćby ono dni kilka zaledwie trwać miało.



№ 2. Kapelusz z jedwabnej materyi, przybrany falbaną z gazy i girlandą róż. (Forma i sposób wykonania na zam. w adm. Bluszczu).

A więc i *mole* uprzykrzyły sobie zimowy sezon i rade są wyfrunąć na jasną, ciepłą przestrzeń; zimę spędziły jako poczwarki, omotane niby watą i ukryte w wełnianych i futrzanych przedmiotach garderoby, w szafach, kufrach i szufladach. Z pojawieniem się wiosny, za przykładem całej przyrody, ulatują przepoczwarzone ku słońcu, aby nacieszyć się swym krótkim żywotem.

Zapewne, i one mają prawo do życia! Ale gospodynie w równej mierze mają też zupełne prawo do tępienia ich jako szkodników chudoby ludzkiej. A szkodnikami są one niepośledniemi.

Owe omotane niby watą gąsieniczki, nie śpią niewinnym snem zimowym, ale przeciwnie są bardzo czujne i przy dobrym apetycie; materyał odzieży, do której się dostały, jest do tego stopnia pokąsany, że wygląda jak sito, jak liść objedzony z miękiszu.

I nie mają to nasze gosposie być ich najzawziętszymi wrogami!

Kobiecie, przypadło w udziale pilnowanie dobytku rodziny. Ona dbać musi o to, by rzeczy raz sprawione trwały jaknajdłużej. Oszczędność nie była nigdy tak do zalecenia, jak dzisiaj; wojna bowiem wyniszczyła wszystkich i wszystko. Nasz kraj ucierpiał bodaj czy nie najbardziej, bo został pozbawiony przemysłu fabrycznego i surowców; zapasy są na wyczerpaniu, a o sprawieniu nowych przedmiotów nie można nawet myśleć.

Tymczasem więc dbać musimy jaknajusilniej o to, by rzeczy stare nie ulegały zbyt szybkiemu zniszczeniu, by jaknajdłużej służyły do użytku. Trzeba więc, aby przedewszystkiem nie były jedzone przez *mole*.



Szk. 5. Szk. 4. Szk. 4a. Szk. 3. Szk. 3a.



№ 3. Kostyum prostym krojem dla młodej osoby (szkic 3 i 3a). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

№ 4. Kostyum sportowy z gładką spódnicą. (Szkic 4 i 4a). Forma na zam. w admin. Bluszczu.

№ 5. Kostyum z krótkim kaftanikiem i odrębną kamizelką. (Szkic 5). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Mole, patrząc na nie z punktu widzenia przyrodniczego, są to niepozorne o srebrno-szarych skrzydłach motyle, które stanowią prawdziwą plagę dla gospodarki ludzkiej we wszelkich jej dziedzinach.

Mole dorosłe, fruwające po pokojach, nie są właściwie szkodliwe, i o ile je tępić należy, to tylko w przewidywaniu zła, jakie później przyniosą w pewnem stadjum swego rozwoju. Niebezpieczeństwo zaczyna się od chwili, gdy fruwać swobodnie przestają, a szukają sobie zacisznego ukrycia w szafie czy kufrze. Wtedy na odzieniu składają jajeczka, z których, podobnie jak w całem państwie owadziem, wykształcają się larwy w przeciągu dni kilkunastu; są one białawe, o brunatnej główce i mieszkają w woreczkach pochewkowatych, utkanych z nitek. Odznaczają się nadmierną żarłocznością; a że wybór jadła to rzecz gustu, więc larwy moli upodobały sobie na pokarm niteczki materyałów pochodzenia roślinnego i zwierzęcego. Czuła macierzyńska opieka zapewniła potomstwu dobre warunki, to też zbudziwszy się do życia jako larwy, znajduje się w przepysznem dla siebie środowisku, a mianowicie na futrach, suknie, wełnianych ubraniach, włosianych poduszkach i t. p. Larwy rozpoczynają natychmiast żywot nader czynny.

Odpowiednim przyrządem gębowym gryzą z wielkim apetytem materyały, karmiąc się owemi niteczkami, a jednocześnie robiąc z nich przędziwo, w które same się oplatają; w tych to kolebeczkach-kokonach dokonywują dzieła przeobrażania się wprzód w poczwarkę, a ostatecznie w mola doskonałego.

Moli znanych jest kil-



№ 6. Krótki żakiecik dla młodej osoby, odpowiedni do sportów, podróży i t. p. (Szk. 6 i 6 a). For. na zam. w adm. Bluszczu.

№ 7. Krótki żakiecik oryginalnym krojem z szerokim haftowanym pasem. (Szk. 7 i 7 a). For. na zam. w adm. Bluszczu.



№ 8. Suknia wizytowa z dwóch materyałów przybrana haftem. (Szkic 8). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

№ 9. Suknia w formie płaszcza z dwóch materyałów. (Szkic 9). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

kanaście gatunków, a wszystkie są szkodnikami, dającemi się we znaki pracy i zabiegliwości ludzkiej.

Lasy i sady są formalnie przez nie niszczone, to też liście drzew, krzewów i żywopłotów, jedzone przez ich larwy, pozbawione są miękiszu i są podziurawione. Są one też plagą we wszelkich spichrzach i spiżarniach, niszcząc ziarna zbożowe, mąkę i kasze, które trzeba ustawicznie przesiewać i przesypywać, aby od szkodników uwolnić. Od dawna znają ich nie bezpieczeństwo kustosze muzeów zoologicznych, gdzie mole niszczą wypchane okazy, jedząc włosień, pióra i wełnę. Również i bibliotekarze wydali na nie wyrok śmierci, bo mole jedzą papier, przez co unicestwiają prawdziwe dzieła myśli ludzkiej. Są też postrachem dla wszelkich składów sukna, wełny, futer, dywanów i t. p. wyrobów.

Ale już największą walkę wypowiedziały im gosposie, owe westalki ognisk domowych, stojące na straży dobytku rodziny; walka z molami jest bardzo utrudniona, bo największe niebezpieczeństwo sprawiają tem, że pracują w ukryciu. Walkę z molami uważają gosposie nasze za jeden z najprzykrzejszych atrybutów swego powołania. Z prawdziwą niechęcią, zmuszone tylko obawą o całość rodzinnej garderoby, co wiosna zabierają się do jej przeglądu, trzepania, czyszczenia, zabezpieczenia od moli i przechowa-



№ 10. Ubranie ulicowe z długim żakietem dla młodej osoby. (Szk. 10). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.



№ 11. Suknia w formie płaszcza nowym krojem. (Szkic 11). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.



Szk. 11. Szk. 10. Szk. 9. Szk. 8. Szk. 7. Szk. 7 a. Szk. 6. Szk. 6 a.

nia letniego aż do zimowej pory. Dni poświęcone temu zajęciu uważają za pańszczyznę, nie mając wtedy czasu dla swych codziennych obowiązków wychowawczo-gospodarsko-towarzyskich.

D. n. *N. Zweigbaumowa.*



№ 12. **Bluzka z tiulu i fałdowana spódnica dla starszej osoby.** (Szkic 12). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Wzory Ubiorów i Robót do № 20 i 21.

№ 3. Krój zręcznej spódnicy, składającej się z kilku części i żakiecika wykończonego na podszewce, nadaje się doskonale do przeróbek. Kostyum sporządzony jest z piaskowej gabardiny. Żakiecik z baskiną z zastebnowanym obrębem — po bokach przybraną nastebnowanemi kieszeniami. Kołnierz, który może być wyłożony lub podpięty pod górę ozdobiony wypustką z materyału w paski. Spódnica z karczkiem, na który z boku zachodzą kontrafałdy.
Potrzeba 5½ metra mat. 100 cent. szer.



Szkic 15. Szkic 14. Szkic 13. Szkic 12. Szkic 16. Szkic 17.

№ 4. Na skromny sportowy kostyum odpowiedni dla młodej osoby nadają się najbardziej ciężkie materyały wełniane. Żakiet prostym krojem spięty w stanie paskiem, opatrzony jest z przodu w górze i na



№ 13. **Suknia z dwóch materyałów, przybrana aksamitką dla młodej panienki.** (Szkic 13). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.



№ 14. **Bluzka z baskiną przybrana guzikami.** (Szkic 14). Forma na zamów. w admin. Bluszczu.

№ 15. **Bluzka z woalu w pasy prostym krojem i spódnica z tafty.** (Szkic 15). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

dole czterema kieszeniami, złożonemi w kontrafałdę, którą można rozłożyć. Kołnierz wykładany lub podpięty pod górę. Spódnica gładka.
Potrzeba: 4⅓ metra mat. 120 cent. szer.

№ 5. Kostyum z krótkim kaftanikiem z kimonowemi rękawami z mat. wełnianego, bawełnianego lub płótna zdobi naszycie dowolne z sutaszu, taśmy, wyszycie łańcuszkowym ściegiem lub stebnówką. Odstający, wykładany kołnierz łączy się z szeroką kamizelką z odrębnego materyału zapiętą na zatrzaski i ozdobioną okrągłemi guzikami.
Potrzeba: 4½ metra mat. 90 cent. szer.

№ 6. Krótki żakiecik prostym, łatwym krojem sporządzony jest z grubego, wełnianego materyału. Kołnierz wyłożony, który można też podpiąć wysoko, przód zapięty na dwa rzędy guzików, w dole kieszonki. Plecy złożone w krytą fałdę, przytrzymaną pateczką. Potrzeba: 2½ metra mat. 110 cent. szer.

№ 7. Zręczny żakiecik, który może być sporządzony z odrębne-



№ 16. **Bluzka z dużym, oryginalnym kołnierzem.** (Szkic 16). Forma na zamów. w admin. Bluszczu.



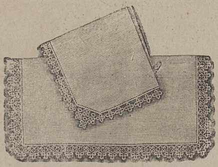
№ 17. **Bluzka z woalu ułożona w zakładki z dużym kołnierzem.** (Szkic 17). Forma na zamów. w admin. Bluszczu.



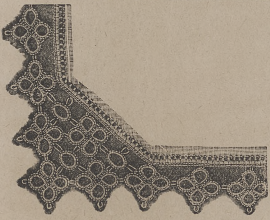
№ 18. **Sukienka aksamitna z dużym kołnierzem dla dziewczynki od 8—10 lat.** Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

go materyału lub też z tegoż co i spódniczka — i tworzyć wtedy kostyum — na naszej rycinie sporządzony z szarego sukna, dopełniony kołnierzem, wyłogami i mankietami z zielonego sukna, z przodu rozwarty, ozdobiony okrągłemi guziczkami i pętelkami. W stanie ujmuje go szeroki pas wyszyty haftem zieloną nitką, płaskim ściegiem. Pas ten przewleczony przez przecięcie z przodu zapina się na spódniczce i bluzce.
Potrzeba: 2.10 metra szarego mat. $^{3}/_{4}$ metra zielonego mat. po 110 cent. szer.

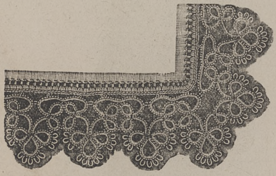
№ 8. Na suknię wizytową oryginalnym krojem użyty jest materyał „Eolienne" w piaskowym kolorze i bronzowa tafta. Bluzka w formie żakiecika oryginalnym krojem wycięta jest z przodu w półkole i przymocowana do wysokiego, szerokiego pasa z tafty, łączącego spódnicę z podszewką bluzki. Płaski haft zdobi pasek, kołnierz z tyłu i mankiety. Dół kaftanika, mankiety i zeszycie szerokiej plisy w dole wykończone dzierganiem. Chwasty wykończają spiczaste końce bluzki i kołnierza.
Potrzeba: $2^{1}/_{2}$ metra Eolienne, $1^{3}/_{4}$ metra tafty po 100 cent. szer.



№ 19—20. **Chusteczki oszyte koronką frywolitową.**



№ 21. **Wzór do ryc. 19.**



№ 22. **Wzór do ryc. 20.**

№ 9. Suknia w formie płaszcza składa się z ciemno-granatowego jedwabnego rypsu i sukna w takimże kolorze. Sukno tworzy boki i plecy części bluzkowej oraz rodzaj tuniki. Przody ufałdowane ujęte przewiązanym paskiem z tafty. Z tafty również sporządzony jest duży wyłożony kołnierz, na którym spoczywa drugi z białego batystu w granatowe paski. Na przybranie użyta jest taśma.
Potrzeba: $3^{1}/_{4}$ metra jedw. mat. 120 c. szer. 1.10 metra mat. 140 cent. szer.

№ 10. Długi żakiet i skromna prosta spódnica tworzy ładne ulicowe ubranie, sporządzone z jasno-szarej wełny. Jedyne przybranie długiego, luźnego żakietu stanowi krawatka z materyi w kratę. Przymocowana jest ona do stojącego z tyłu kołnierza, podsunięta pod wyłogami i z przodu przewiązana w węzeł. W stanie żakiet ujęty paskiem ozdobionym guzikami — takież guzikami przybierają wyłożone mankiety. Poniżej stanu, po bokach proste przecięcia kieszeni. Takież przecięcie powtórzone na spódniczce.
Potrzeba: $4^{1}/_{2}$ metra mat. 120 cent. szer.

№ 11. Szaro-bronzowa tafta w nikłe pasy użyta jest na suknię w formie płaszcza nowym krojem, ułatwiającym przeróbki. Część tworząca rodzaj spódnicy składa się z 2-ch części: krótkiej idącej ze stanikiem, krajanej wzdłuż pasów i sięgającej nieco poniżej bioder i drugiej tworzącej rodzaj b. szerokiej plisy, krajanej w poprzek. W stanie od boków szeroki pas zapięty na okrągłe guziki i szarfka. Szeroki fantazyjny kołnierz z wyłogami odszyty na staniku przybrany ozdobnymi ściegami. Przód stanika wykończony wkładem z tiulu.
Potrzeba: $5^{1}/_{2}$ metra tafty 90 cent. szer.

№ 12. Gładki czarny tiul i także koronka użyte są na ładną, lekką bluzeczkę, wykonaną na podszewce z białego Chiffon. Karczek, łączący się z koronką oraz rękawy ozdobione grupami zakładek. Kołnierz, skrzyżowany przód i mankietki wykończone dzierganiem. Spódnica z 3 części ułożona po bokach przodu i tyłu w zaprasowane, głębokie fałdy.

№ 13. Na sukienkę tą odpowiedni jest fular, lekkie mat. półjedwabne, bawełniane i wełn. Przód spódnicy i bluzka z baskinką z tyłu wykonane z mat. gładkiego — w stanie naszycie do podszewki, przymarszczone w rodzaju bufki pokryte jest aksamitką, która zdobi również bufki przy rękawach oraz kołnierz z wzorzystego mater.

№ 14. Bluzkę z granatowej tafty przybierają rzędy guzików, które, pozornie przypinają nacięte części przodu, tworzące po bokach odstające kieszonki. Biały kołnierz ozdobiony mereszką; takież mankietki tworzą przybranie. Spódnica dobrana kolorem wełniana lub aksamitna.
Potrzeba: 1.80 metra tafty 100 cent. szer.

№ 15. Bluzka z białego woalu w bronzowe pasy sporządzona jest nader prostym krojem. Wycięcie szyi zmarszczone wykończone jest kołnierzem z bronzowej tafty. Spódnica z bronzowej tafty ułożona w grupę zwróconych ku sobie fałd.
Potrzeba: $1^{1}/_{2}$ metra mat. w pasy 110 cent. szer. na bluzkę; $2^{2}/_{3}$ metra mat. 95 cent. szer. na spódnicę.

№ 16. Bluzka z białej materyi do prania wmarszczona jest w karczek wszyty mereszką. Mereszka zdobi rękawy, mankiety i duży oryginalnie rozcięty kołnierz, przybrany prócz tego grupami drobniutkich zakładek. Spódnica z kieszonkami.
Potrzeba: 2 metry mat. 100 cent. szer.

№ 17. Bluzka z granatowego woalu na różowej podszewce ułożona jest z przodu i z tyłu w grupy zakładek i zapięta na dwa rzędy guzików. Mankiety i kołnierz modnym, oryginalnym krojem wykończone plisowaną falbanką. Kołnierz z przodu zakończony chwastami.

№ 18. Zgrabna sukieneczka z aksamitu odpowiednia jest dla szczupłych dzieci. Sukienka składa się z dwóch części, spódniczki zmarszczonej i staniczka przykrytego dużym, okrągłym kołnierzem oszytym falbanką z jedw. mat.
Potrzeba: 2 metry aksamitu 110 cent. szer.



№ 23. **Kwadratowa serweta zdobna bogatym haftem Richelieu (motyw z róż).** Wzór na zam. w adm. Bluszczu.

Rozmaitości.

Mydło z kasztanów.

Jak donoszą pisma zagraniczne, we Francyi zrobiono dobre doświadczenia przy sporządzaniu mydła z kasztanów. W tym celu obiera się kasztany z brunatnej łupiny, kraje w cienkie plasterki i suszy na słońcu. Następnie uciera się wyprażone blaszki na delikatny proszek, który zmieszany z wodą dostarcza dobrego płynu do prania.

Konserwowanie jaj w popiele drzewnym.

Sposób konserwowania jaj w popiele drzewnym jest znanym bardzo dawno, a ciągle jeszcze używanym z powodzeniem w krajach skandynawskich. Jaja świeże i czyste należy układać w popiele w ten sposób, by każde jajo było otoczone popiołem ze wszystkich stron. Jaja nie powinny dotykać ścian ani dna naczynia, w którem się je przechowuje. Od zetknięcia z powietrzem chronić jaja powinna także warstwa popiołu grubości conajmniej 3 cm. Wartość zachowawcza popiołu drzewnego polega na tem, że nie zawiera on bakteryi. Odnosi się to jednak tylko do popiołu świeżego i dlatego należy wyłącznie używać świeżego popiołu do przechowywania jaj.

Wyrób cukru z kukurudzy i sorga.

Urząd Rolniczy Stanów Zjednoczonych zarządził próby w kierunku produkowania cukru z kukurudzy i sorga cukrowego, które to próby wykazały, że z jednego akra kukurudzy otrzymać można większą ilość cukru, niż z jednego akra buraków cukrowych; odkryciu temu przypisać można wielkie znaczenie ze względu na to, że uprawa kukurudzy wymaga znacznie mniej starań i uwagi, niż uprawa buraków.



№ 24. **Serweta okrągła przybrana kolorowym płaskim, modnym haftem.** (Szkic 24). Wzór na zam. w adm. Bluszczu.